№ 13. Warszawa, dnia 13 (25) Marca 1876 roku



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Treść Numeru: O znaczeniu kobiety w zakresie Gospodarstwa Społecznego (dalszy ciąg). — Pani Luiza, nowella E. Orzeszkowej (dalszy ciąg.) — Korespondencya zagraniczna ze Lwowa (dokończenie). — Przegląd literacki (dokończenie). — Przegląd teatralny. -- Pogadanka. — **W dodatku:** Slub w Anglji przez Ludwikę Gerald, przekład J B. (dalszy ciąg).

O ZNACZENIU KOBIETY

w zakresie Gospodarstwa Społecznego

odczyt D-ra Lorenza von Stejn, miany w Czytelni studenckiej w Wiedniu,

przełożył z niemieckiego Edward Przewóski.

(Dalszy ciąg).

II.

Powiadają — i słusznie, że dokładne zrozumienie zjawisk złożonych zaczyna się dopiero wtedy, kiedy zdołano rozłożyć pozornie proste objawy na ich składowe pierwiastki—i wtedy to w powszednich, obojętnych zjawiskach zapoznajemy się z tem, co w nich jest wiecznie nowem i żywotnem. Od czasu jak nauka przyrody zagarnęła pod swoje panowanie stare prawdy i rzeczy—zmieniły się one do niepoznania. Nauka pisania dziejów przybrała inny zupełnie charakter. W stare, powszechnie uznane tradycye wkradło się zwątpienie, a miejsce efektownych wydarzeń, zajęła dziejowa praca. Nauka na wszystkich punktach porzuca dziecinne pieluchy i staje się mężem dojrzałym. Tam gdzie dotąd widziano tylko barwne obrazki, występuje nieskończone bogactwo objawów życiowych. Czyż może więc i przedmiot naszej pogawędki wyłączać się z pod tego, co się już stało powszechnem prawem naszego życia.

Surowe te wymagania mają swój ściśle określony charakter. Wyłączają one ze swego zakresu wszelkie mgliste obrazy, niedomówione myśli i dwuznaczne wyrazy, i wskazują na to, że tylko dokładne poznanie części, prowadzi do pełnego zrozumienia całości. I czy na to zgadzamy się lub nie, pozostanie to dla nas rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

Pomiędzy wyrażeniami, do których stosuje się to wszystko cośmy dotąd powiedzieli, napotykamy tak często wyrazy: życie ludzkie. Któż nie używa ich prawie codziennie, kto ich nie słyszał? A jednak, cóż o nich wiemy? Czyż życie nasze pojmujemy już tak, ażeby owo pojęcie było dla nas wskazówką, zarówno w radości jak i w cierpieniu. Alež ono despotycznie panuje nad nami, a my jesteśmy jego niewolnikami. W czemże to wyraża się ta przemoc? Czyż mógłbym z nią walczyć... Czy mógłbym? — muszę! Z czemże jednak mianowicie?.. Z czem? — z tysiącznemi rzeczami, to widoczne, i te to właśnie tysiączne drobnostki i okoliczności tworzą ową całość którą życiem nazywamy. I gdzież jest węzeł tej nierozwikłanej zagadki. Co jest kwiatem i owocem tego życia. Co jest jego celem, pytacie — któż nie wie, że tym ostatecznym celem jest zaspokojenie naszych potrzeb — zużycie. A cóż to zaspakaja moje potrzeby. Bezwątpienia to, co posiadam, co wypracowałem, nabyłem, co zrobiłem według mego życzenia... Jakże to jednak nazwać jednym, ogólnym wyrazem. Jakże nazwę to, co dlatego że je posiadam i w dostatecznej ilości, zaspakaja moje potrzeby i wypełnia mi życie. Jakże nazwę to, ku czemu dążę i czego pożądam dlatego, że je u innych widzę lub im zazdroszczę, co obliczam codziennie i według czego urządzam całe swoje życie, całą pełnię mego istnienia i co mi daje odpowiednie stanowisko; jakże nazwę to, czego utrata przepełnia mię boleścią i co gdy zdobyłem rozpatruję z dumą i radością, uważając zdobycz za część mojej własnej istoty — jako wcielenie mych sił i pragnień, to z czem się rozstać nie mogę i co dla mnie tylko wynalezionem zostało, czego jedynem i wyłącznem przeznaczeniem jest zaspakajać potrzeby moje i innych — co uważam jako moje? Bezwątpienia nazwę to *mieniem*. Rozpatrując to mienie, widzę, że składa się ono z wielu pojedynczych przedmiotów, z których każden, w skutek właściwych mu przymiotów, zdolen jest zaspakajać moje potrzeby. Te pojedyncze przedmioty nazywam *wartościami*. Potęga zaś, którą przez nie posiadam, która mi pozwala nietylko zaspokoić swoje potrzeby, ale daje mi pewną i niezaprzeczoną władzę nad innemi nazywam swoim *zasobem*. Nazwy zdają mi się być zrozumiałe i pragnąłbym tylko, żeby zarówno mężczyzna jak kobieta pojęli ich doniosłość w obec tego wszystkiego co obojętnem być dla nas nie może. Jest to rzeczą jasną jak słońce, że życie nasze bezpośrednio i przedewszystkiem zależy od posiadania wartości: dla nich się porusza i niemi mierzy swoje powodzenie. O tem wiemy wszyscy a jednak nie wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę, chociaż każden dzień, każda godzina, każda potrzeba, każde głośne lub tajemne pragnienie — winno wam lepiej rozjaśnić tę prawdę — chociaż życie nasze, przynajmniej o tyle o ile należy ono do świata zewnętrznego — jest nie czem innem jeno *życiem wartości*.

To życie wartości jest rzeczą bardzo poważną i wymagającą pilnego zastanowienia, jakkolwiek samo słowo i pojęcie mogłoby się wydać powszednem lub niezwykłem. Nie mam tu potrzeby roztaczać przed wami dokładnego obrazu, bo któż go nie widział, czyjej że on nie zwrócił uwagi... Te wartości, z ich życiem i władzą nad nami zupełnie są innej natury od świata przyrodzonego, który je otacza. Nie stoją one pobożnie przede drzwiami naszego domu, jeżeli go przed niemi zamkniemy, nie hulają swobodnie po szerokim świecie jak rozkiełznane zefiry, nie biegną na pierwsze nasze zawołanie, nie dadzą się uwieść miodowemi słówkami, i nie baczą nic na nasze choćby najlepsze, nie już dobre chęci. Posiadają one rzeczywistą, pewną i nieugiętą władzę nad nami. Już dziecku ścielą one kołyskę, dają naukę i wychowanie lub go zaniedbują zupełnie. One tó zmuszają nas do pracy, otaczają nas zewsząd, nakrywają nasze stoły, karmią nas i poją. One także wywołują łzy umartwienia, lub przynoszą pokój i radość; napełniają bezsenne noce kłopotliwemi myślami lub rozkosznemi marzeniami; one także wzbudzają w nas

zachcenia, popychają do czynu a nawet do zbrodni i dziewięćdziesiąt na sto przestępstw wywoływane bywa tą groźną przemocą, jaką nad nami rozciągają wartości. Panują one wszechwładnie nad całą połową naszego życia. Szczęśliwi ci, co żyją pod łagodnem panowaniem; zresztą, wy sami wiecie o tem lepiej ode mnie... I czyż podobna, ażeby tak wielka potęga miała być nieznaną i obcą dla kobiety i żony, podczas gdy mąż składa na jej ołtarzu najszlachetniejsze swe siły, podczas gdy nawet po za jego grobem rozciąga ona nad nią pełne ucisku lub dobroci panowanie.

Gdy więc potęga tego co nazywamy wartością, mieniem, zasobem jest tak wielką, tak ciężką, niestety bezlitośną, a zawsze tak nieuniknioną, że wyciska niezatarte piętno na wszystkich naszych myślach i pragnieniach, to czy ona może być już dla was zupełnie prostą i tak odrazu zrozumiałą... czyż może, ona, która jest nieograniczonym szafarzem, wszystkiego co posiadamy i co posiadać możemy, wydawać się tylko przypadkową i dowolną. Czyż ona, jak każda ludzka potęga nie opiera się na pewnych prawach, które znowu jej życiem kierują i według siebie go urabiają. Bezwątpienia. Jeżeli więc powstawanie, zamiana i zużywanie wartości podlegają pewnym właściwym prawom i prawidłom i jeżeli owe wartości jako zasób i mienie mają nad nami nieograniczoną i niezaprzeczoną władzę — to cóż mnie, obdarzonemu rozumem i wolą w obec nich czynić wypada... Otóż jasną jest rzeczą, że wtedy, gdy nic zmienić nie możemy w owych prawach, jakim podlega życie wartości, to jednak prawa te, przynajmniej w zasadniczych podstawach i ogólnych zarysach, poznać i kierować niemi możemy. I gdy kobieta, zdolna czuć i odczuwać, pozna, że nietylko w dobrobycie lecz i w niedostatku podlegli jesteśmy tem prawom; jeśli zrozumie, że mienie, jeżeli nie jest jeszcze samem szczęściem, to jednak stanowi jego nieodzowny warunek, jeżeli się dowie że cała działalność jej męża tym prawom ulega; jeżeli zechce mu pomagać, łącząc przywiązanie z rozumem, ażeby stać się nie tylko więcej kochaną lecz i bardziej cenioną; jeżeli chce stać się jeszcze droższą dla niego — to cóż wtedy będzie jej obowiązkiem?... Nie obawiajcie się ostatecznego wniosku, jaki zamierzam wysnuć z całej sieci poprzednich rozumowań. Nie mam zamiaru wam powiedzieć, że powinnyście się zająć „studyami nad gospodarstwem społecznem". Ach... wtedy nieposłuchałybyście mnie, choćbym był najbieglejszym sofistą. Uspokójcie się więc. Mam zamiar ograniczyć się rozjaśnieniem niektórych pojęć ekonomicznych i pominąć milczeniem wszelkie definicye i spory o wartości, cenie lub papierowych pieniądzach nawet o pracy i zasobie... Otóż jest to zupełnie zrozumiałem dla każdego, kto tylko w otaczającym go świecie szuka, wśród rozproszonych objawów wiążącej je nici, że żeby pojąć i rozwikłać życiowe stosunki, które wywierają na niego wpływ przeważny, jedno winien uczynić. Winien z pojedynczych szczegółów i cech charakterystycznych, wytworzyć sobie dokładny obraz życiowych stosunków i w nim przedewszystkiem oznaczyć miejsce jakie sam on zajmuje i z którego powołany jest oddawać w zamian swoje wyroby. A jest to znowu prawem naszego wewnętrznego życia, że cieszymy się tem, co się nam udaje i co połączone jest ze znajomością tego cośmy czynić powinni. Winienem więc wskazać wam one prawa w formie w jakiej wciskają się one w życie kobiety.

Jeżeli zwrócimy uwagę na to, co nazywamy wartością, to przekonamy się że ona pracy i materyi zawdzięcza swoje istnienie; że gdy już wytworzoną została zwykle przez kogoś innego bywa zużyta, i że nakoniec przez to zużycie nie niszczy się, lecz tylko przetwarza w nową zupełnie formę, jak pokarm w siły ducha i ciała, a cienkie nitki w piękną tkaninę, jak koszta w zyski. Wartość jest więc nieprzerwanym łańcuchem przemian, w którym pojedyncze procesa są jego ogniwami, jest ona bezustannym ruchem, przemianą i przeobrażenia te zwracają naszą ekonomiczną uwagę w trzech zasadniczych formach, w formie *wytwarzania, zużywania i przetwarzania* (*). Dobrze... ale cóż za związek ma z tem wszystkiem kobieta.

Rozpatrzmy się w tem bliżej. Małżeństwo, ten najściślejszy związek kobiety z mężczyzną, który otacza całe ich życie czy nie jest znowu otoczony tem, co nazywamy życiem wartości, ich wytwarzaniem, zużywaniem i przetwarzaniem? Tak jest bezwątpienia. I gdy mąż i żona, którzy o ile się różnią w swej wewnętrznej istocie i zdolnościach, o tyle silniej zlewają się znowu w jedną organiczną całość według znanego prawa, że tylko zjednoczenie różnic tworzy harmoniję, zechcą wspólnie żyć, myśleć, pracować i wzrastać w potęgę — to jaki będzie musiał zajść stosunek między niemi a tem, co tu nazywam życiem wartości i czy stosunek ten nie oprze się znowu na tem samem prawie, które stanowi podwalinę poprzedniego związku. Tak się bowiem dzieje, że siły które rozpatrywane oddzielnie są różne i takież mają zadania, występują nakoniec jako siła jedna i nierozdzielna, jako całość. Powracając do naszego pytania, jakże określimy wzajemny stosunek męża i żony i stosunek ich do owego życia wartości w trzech różnych przemianach. Nie sądzę żeby to miało być rzeczą sporną. Zadaniem męża jest wytwarzanie wartości, zadaniem kobiety ich zużywanie — oboje jednak łączą się we wspólnym celu — przetwarzania wartości.

Jest to widoczne stanowisko żony w wielkim świecie, który nazywamy światem wartości. Jednak słowo zużywanie nie jest jeszcze zupełnie dostatecznie wyjaśnionem. Jeden ze znakomitych francuzkich ekonomistów, zaprzecza jakoby zużywanie było jednocześnie wytwarzaniem i uważa je za prosty podział wartości. Porzućmy jednak sprzeczki i definicye. Zdaje mi się być prostem i zrozumiałem, że gdy jednostka używa pewnych przedmiotów w celu zaspokojenia swoich potrzeb, to ma miejsce ich spotrzebowanie, albo zużywanie — zużycie; a i to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nad tą, niesłychanie ważną epoką w życiu wartości i w życiu pracującego człowieka, winna czuwać troskliwa ręka żony, że to jest jej właściwym udziałem. Nakoniec przybiliśmy do portu i winienem zaznaczyć, że tu zaczyna się już to, co nazwalibyśmy *kobiecem gospodarstwem społecznem.*

Zdaje mi się, że nie mogę położyć dość silnego nacisku na to wyrażenie. Nic tak nie charakteryzuje naszego wieku i w żadnym względzie nie jest on tyle wymagającym, co we względzie oświaty. Jedną z największych zdobyczy XVIII wieku, którą wspadku po nim otrzymaliśmy i którym jak najlepiej staramy się rozporządzić jest myśl, że oświatę powinniśmy popierać wszelkiemi środkami, zarówno siłami pojedyńczych jednostek i ciał zbiorowych jak i samych rządów. Któż nie wie, że w wykształceniu spoczywa najwyższa forma duchowego udoskonalenia i niespożyty kapitał; że każda nakoniec pojedyńcza zdolność może się nieskończenie wyrabiać i rozwijać. Chcielibyśmy naukę uczynić dostępną każdemu. Zaczynamy od małych rzeczy, lecz coraz wyżej wznosi się poziom tego, co z jednej strony wymagamy a z drugiej dajemy. I to właśnie stanowi najbardziej charakterystyczną cechę naszego czasu. Jednak — co zresztą jest udziałem wszystkich wielkich pomysłów i zamiarów — nie uchronimy się od pewnej jednostronności. W pogoni za oświatą stanęliśmy w tym punkcie, że każdy pragnie wiedzieć wszystkiego po troszę, a nadto trochę tę ze stanowiska ostatnich naukowych badań. Weszliśmy na drogę, którą nazywamy popularyzowaniem nauki. W tym celu zakres każdej nauki zredukowaliśmy do minimum; przygotowaliśmy odpowiednie podręczniki dla każdej części naszego społeczeństwa, pragnąc wszystkich wtajemniczyć we wszystko. Po części toż samo zrobiliśmy i z Gospodarstwem Społecznem. Wiemy już o tem doskonale jak wielkiej jest wagi działalność kobiety w zakresie naszego ekonomicznego życia. Zdaje się więc nic prostszego, jak to, że trzeba ją obznajmiać z owem Gospodarstwem. Napisaliśmy więc odpowiednie podręczniki dla kobiet. Naukę Gospodarstwa Społecznego wprowadzono do wyższych zakładów żeńskich. Jednak, zdaje mi się że do dobrego celu wybraliśmy złą drogę. Znaczenie każdej rzeczy i każdej umiejętności dla życia praktycznego a o takie nam idzie, zaczyna się tam, gdzie może ona być odpowiednio zużytkowana i nikt nie zaprzeczy, że w rzeczywistości zarówno zrozumienie jak użyteczność jest nieodzownym warunkiem przy ocenianiu wartości każdej rzeczy i każdego pojęcia. Chcę przez to powiedzieć, że miarą za pomocą której mamy oceniać znaczenie szerokich pojęć z zakresu Ekonomji dla kobiety, jest użyteczność tych pojęć w jej życiu.

Zdaje mi się to być rzeczą podrzędniejszego znaczenia, ażeby kobieta miała recytować abstrakcyjne systematy: daleko większej wagi jest to, co i jak jej czynić wypada w właściwym zakresie, który oczekuje na jej działalność. Jest mojem najgorętszem życzeniem, ażeby kobieta obznajmiła się nietyle z pojęciami i systematami ile z duchem Gospodarstwa Społecznego i jestem przekonany, że wszystko co jej będzie powiedzianem pojmie bez trudności i swojem naturalnem poczuciem oceni, gdy będzie mogła się namacalnie przekonać dlaczego i z jakiego powodu pewne pojęcie jest tak wielkiej wagi. Sama nauka zyska podwójnie w jej oczach, skoro się przekona i doświadczy dla czego ją cenić powinna — jeżeli rozległe pojęcia przedstawią się pod postacią rzeczy znanych i dotykalnych z jej świata. Ośmielam się nawet twierdzić, że daleko wyżej cenię tę kobietę, która dumną jest z tego co potrafi zrobić, aniżeli tę która potrafi tylko definiować. Tak więc owe Gospodarstwo Społeczne dla kobiet jest umiejętnością zrozumienia właściwego stanowiska i zadania kobiety w życiu wartości w szczególe a w Gospodarstwie w ogóle.

Nasza Ekonomija powinna koniecznie uczyć kobietę, w czem leży jej gospodarcza, a wskutek nieodwołalności stosunków ekonomicznych i moralna wartość. I w tym duchu wykazałem, że główne i właściwe jej zadanie leży przedewszystkiem w wyjaśnieniu procesu zużywania wartości, który znowu styka się najbliżej z właściwym zakresem *Gospodarstwa domowego.*

(d. c. n.)

(*) Nazywa się to pospolicie produkcyą, konsumpcyą i reprodukcyą, zarówno jak mienie bogactwem, wartość dobrem, a zasób znowu bogactwem, kapitałem, lub jakim innym przetłomaczonym terminem; sądzimy jednak, że wyrazy tu użyte, choć mniej upowszechnione nierównie lepiej malują, niezbyt dokładnie jeszcze odmalowane społeczno ekonomiczne pojęcia. *(Przyp. tłom).*

PANI LUIZA.

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA)

NOWELLA

Elizy Orzeszkowej.

(Dalszy ciąg).

Koledzy moi prawnicy wiedzą dobrze, w jak szczególne a drażliwe położenie wprawia nas częstokroć ten zawód nasz, tak pełen styczności z ludźmi najrozmaitszymi. Niewiem jednak czy któremukolwiek z nich losy zawistne nastręczyły kiedy położenie podobne temu, w jakiem ja się znalazłem, w obec p. Luizy dotkniętej podwójnym atakiem rozpaczy i — spazmów. Nie byłem przyzwyczajonym do roli sercowego powiernika pięknych i czułych pań, to też wywiązałem się z niej tym razem w sposób niezupełnie może pospolity. Używane w podobnych razach otrzeźwiające sole i octy nie przyszły mi na myśl. Nie wydobyłem też z piersi mej ani jednego westchnienia i oczy me pozostały suchemi.

— Cierpisz pani bardzo, rzekłem, to prawda. Ale przebacz że powiem iż przyczyna cierpień tych spoczywa właśnie we własnej jej istocie. Świat ten który pani oskarżasz tak gorzko, mało im bardzo winien, tem mniej fatalizm który nie zewnątrz nas ale w nas samych tylko, w pojęciach i pobudkach rządzących nami istnieje.

Słowa te, jakkolwiek wymówiłem z prawdziwą nad nią litością, zabrzmiały snać w jej uchu szorstko i zimno. Głośne łkania jej umilkły. Podobną była dziecku, które gdy łzom jego schlebiają, płacze coraz rzewniej, lecz gdy doń przemówią z powagą i stanowczością ucisza się i na gromiącą go osobę z nieśmiałym spogląda wyrzutem. W załzawionych oczach jej które na mnie podniosła był miękki, trwożny wyrzut.

— I pan więc nie zrozumiałeś mię także! szepnęła. I pan także mię obwiniasz?

— Nie obwiniam panią bynajmniej, odparłem: wiem że moralna istota człowieka jest koniecznym wynikiem mnóstwa przyczyn i skutków, które na nią przez czas długi działały. Pragnąłbym tylko, przez współczucie dla pani, przyjaźń którą dla niej powziąłem, abyś pani raz przynajmniej uczyniwszy wysilenie nad sobą, zdobyła się na chwilę energii i rozwagi. Pojęłabyś pani wtedy, że posiadasz pani w swem ręku bardzo bogate środki do stworzenia sobie jeśli nie zupełnego szczęścia to przynajmniej spokoju i zadowolenia.

Uśmiechnęła się gorzko.

— I cóżbyś pan uczynił, gdybyś był na mojem miejscu? zapytała.

— Przedewszystkiem, postarałbym się o nadanie życiu memu jakiegoś dobrze określonego a pożytecznego celu.

— Czegóżbym nie dała za to aby cel taki posiąść! zawołała splatając dłonie. Rozumiem dobrze, iż główna przyczyna nieszczęść moich zasadza się właśnie na zupełnym braku celu, nietylko dla życia całego ale chociażby dla jednego tylko dnia, dla jednej godziny! Codziennie budząc się, z niewymownem przerażeniem albo smutkiem myślę, jak nieskończenie długim, zimnym, pustym będzie ten dzień, który się dla mnie rozpoczyna! Ale cóż na to poradzić mogę? Gdybym była w pierwszej młodości mojej inne zawarła małżeństwo, miałabym teraz może rodzinę, kogoś o kogo troszczyćbym się musiała...

— Rodzina jest wielką i piękną rzeczą, ale prócz niej istnieje jeszcze wiele bardzo drogich i ważnych dla ludzkości spraw i potrzeb...

— Wiem o tem, podchwyciła, to też przez czas jakiś łudziłam się iż mam istotny talent do muzyki i malarstwa. Probowałam tworzyć ale niestety! przekonałam się prędko, iż dyletantką tylko być mogę i skromną naśladownicą dzieł cudzych!

— Sztuki piękne, rzekłem, dostarczyć mogą zapewne nadzwyczaj powabnych i użytecznych uciech i zatrudnień. Po za niemi jednak istnieją jeszcze liczne przedmioty zajęć niemniej bogate w pociechy dla serca i w plony dla świata!

Patrzała na mnie z lekką niedowierzającą ironiją.

— Być może, szepnęła, ale wątpię aby się dla mnie cokolwiek ztamtąd znalazło. Nie będziesz mi pan przecież radził, abym rozpoczęła studya nad matematyką lub abym myślała nad wynalezieniem nowej jakiej maszyny?

Nie odpowiedziałem jej bezpośrednio.

— Gdybyś pani wiedziała, rzekłem, jak pięknie teraz, przy promieniach wiosennego słońca, wygląda ten kawał ziemi drogocennej, której pani właścicielką jesteś!

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Zwrotu takiego rozmowy nie oczekiwała.

— W istocie, rzekła z roztargnieniem, przypominam sobie, że Żmurowszczyzna jest dość malowniczo położona...

— Istnieją tam, mówiłem dalej, skarby widzialne i przez przyrodę samą stworzone i takie które w łonie ziemi, powietrza i wód zawarte, wydobytemi zeń i światu darowanemi być mogą, tylko umiejętnem staraniem dzielnego umysłu ludzkiego i pracowitej dłoni.

Oczy jej utkwione w mej twarzy roztworzyły się szeroko od zdumienia. Pojąć ani domyśleć się nie mogła do czego zmierzała mowa moja.

— Gdybyś pani wiedziała, rzekłem dalej, jak smutny widok przedstawia śliczny jej wiejski pałacyk, to piękne dzieło architektury i chlubny ślad tego stopnia którego dosięgła krajowa cywilizacya nasza! Do wyniosłych pałacowych komnat wpływają przez dach dziurawy deszcze niebieskie, starożytne rzeźby kruszą się i w proch rozsypują, zewnętrzne ściany zdala już uderzają oczy podróżnego wielkiemi, czerwonemi plamami ogołoconych z tynku cegieł. Wspaniałe drogi pałacowego parku zielskiem zarosły a ogrody przybrały pozór puszcz dziewiczych; drzewa w nich przestały rodzić, a słynne niegdyś z piękności swej róże zamieniły się w dzikie głogi...

Skończywszy smutny opis ten zostałem z kolei zdumionym. Na twarzy pani Luizy zamiast smutku i pożałowania odmalowało się żywe zajęcie i rozciekawienie.

— Doprawdy, zawołała, czy tak teraz Żmurowszczyzna wygląda! A więc teraz dopiero musi to być prawdziwie piękna ustroń wiejska... Wybornie pan opisujesz miejscowości zaniedbane... Ta ruina błyszcząca zdala czerwonemi plamami... te dzikie, wysokie głogi w ogrodzie... Wzbudziłeś pan we mnie ochotę pojechania tam i obejrzenia tego wszystkiego!...

Miałem wielką ochotę wziąść kapelusz i pożegnać panią Luizę na zawsze. Z wewnętrznym gniewem pomyślałem że nie jestem lekarzem — psychyatrą i nie mam najlżejszego obowiązku studyować albo leczyć pewne gatunki obłąkania. Było to jednak chwilowe tylko uniesienie. Bądź co bądź, litowałem się nad tą kobietą tak pełną wdzięku, a tak okropnie, tak wielostronnie kaleką. Być może, iż bardziej jeszcze żałowałem tych skarbów, których była właścicielką, a które tak marnie, tak bezużytecznie i dla niej samej i dla świata, przepadały w ślicznej, białej, przerażająco niedołężnej jej rączce. Rozmawiałem więc z nią dalej, strzegąc się już tylko jak ognia wszelkich opisów, najmniej choćby na poetyczne zakrawających. Sprobowałem zresztą ująć przedmiot z innej strony. Powiedziałem jej, że w dobrach do niej należących istnieje wielka rzesza dziatwy drobnej wpół dzikiej, dla której odrobina choćby opieki i oświaty byłaby dobrodziejstwem ogromnem. Wspomniałem coś o niezmiernej ważności dla kraju i zresztą dla ludzkości całej, oświecania i moralizowania niższych sfer społeczeństwa i że zadanie to leżało właśnie na sumieniu i odpowiedzialności ludzi ukształconych i bogatych.

Zrozumiała mię trochę, ale całe rozumowanie moje rozbijało się według jej mniemania o szkopuł nieprzezwyciężony.

— Alboż jestem bogatą, rzekła, mam tyle zaledwie ile mi na skromne wcale utrzymanie wystarczyć może.

— Przepraszam panią, przerwałem, nie znasz pani tylko istotnej wartości pieniędzy i nie umiesz z nich uczynić stosownego użytku. Jesteś pani bogatą a mogłabyś być daleko bogatszą jeszcze...

— Jakim sposobem? zagadnęła z żywością, która świadczyła iż nie byłaby wcale zmartwioną powiększeniem swej fortuny.

Powiedziałem jej, iż zamiast przebywać bezczynnie w rozmaitych miastach Europy, powinnaby zamieszkać w dobrach swoich, wziąść sobie do pomocy kogoś umiejętnego i doświadczonego i nietylko część znacznych jeszcze dochodów swych, ale czas swój i pracę poświęcić na podniesienie z gruzów tego co upadło, na wydobycie z ziemi tego, co zaniedbanem zostało. Przy staraniach takich wytrwale prowadzonych, dobra jej, według zdania ludzi kompetentnych, mogłyby za lat kilka przynosić bardzo poważną sumę trzydziestu tysięcy rubli dochodu, wtedy gdy obecnie przynosiły zaledwie dziesięć.

Słuchała mię z dziwnym jakimś, wpół smętnym, wpół wzgardliwym uśmiechem na ustach.

— Trzydzieści tysięcy rocznego dochodu, odparła po chwili, rzecz to w istocie bardzo ładna. Chciałabym posiadać tyle, aby raz na zawsze otrząść się z kłopotów, które mi są wstrętnemi i módz cokolwiek dobrego uczynić ludziom. Ale — dodała, bądź pan pewny, że dla zdobycia dziesięć razy choćby większych bogactw, nie poświęciłabym ani jednego dnia mego życia. Gdybym je posiadła, byłabym trochę spokojniejsza niż teraz jestem, ale starać się o powiększanie go, myśleć nieustannie o pieniądzach, o nigdy! raczejbym z głodu umarła, niżbym dobrowolnie zmateryalizowała w ten sposób myśl, uczucia i całe istnienie moje!

I znowu nie wiedziałem czy mam zaśmiać się i odejść, czy też do dna zbadać tę komiczną z pozoru, traiczną w gruncie istotę ludzką, którą miałem przed sobą. Pomimo wszystkiego zresztą nie mogłem obronić się od uczucia litości i sympatyi! Na szczęście miałem dnia tego dość czasu. Podniosłem więc znowu przedmiot rozmowy o parę stopni wyżej, i uczyniłem małą wycieczkę w krainę ekonomji. Starałem się wytłomaczyć p. Luizie, że podnosząc wartość majątku swego, zwiększając o wiele jego produkcyą nie zniżyłaby myśli i uczuć swych do tak nizkiego jak sądziła poziomu, pracowałaby bowiem nie tylko dla siebie ale i dla ogółu.

— W tak ubogim szczególniej i pierwotnie uprawianym kraju jak jest nasz, mówiłem, każda szmata jałowego dotąd pola — użyzniona. każde drzewo od zagłady uchronione, każda okrucha życia i dostatku stworzona tam, gdzie panowała wprzódy martwość i pustka — stanowią ważną przysługę tak materyal-

nej jak i moralnej natury, ogółowi wyświadczoną. Materyalnie powiększają one dobrobyt ogółu, moralnie — udzielają innym przykładu, nauki, zachęty!

Z samego już wyrazu twarzy słuchającej mię kobiety, wnieść mogłem, iż nic a nic mię nie rozumiała. Jakoż po chwilowem milczeniu, rzekła:

— Vous me parlez en grec! nie pojmuję coby ogół skorzystać mógł na tem, jeśliby majątek mój dawał większe niż teraz dochody. Byłabym bogatszą — to prawda — ale czyż przez to sąsiedzi moi staliby się także bogatszymi lub szczęśliwszymi!

Rzecz to była szczególna doprawdy i ciekawość obudzająca, jak bardzo umysł kobiety tej, tak bystry i przenikliwy gdy szło o rozpoznawanie i odgadywanie najsubtelniejszych odcieni, najzawikłańszych zagadek piękna, tępym był i ciężkim wszędzie, gdzie szło o najprostszą choćby, najelementarniejszą prawdę. Najzawilszy akord, najmisterniejsza linijka, najdelikatniejszy światłocień, w kompozycyach muzycznych lub malarskich zawarty, były dla niej najzupełniej zrozumiałemi, ale wszelkie pojęcie naukowe, wszelki, zupełnie choćby prosty, powszedni fakt życiowy — stawały przed nią w postaci Sfinksa. Na Sfinksa tego patrzała ona przez chwilę pięknemi swemi, zdumieniem rozszerzonemi oczami, poczem wymawiała ścicha: nie rozumiem! i najlżejszego nie zadając sobie trudu aby zrozumieć, oddalała się od niepojętej dla siebie zagadki, ze smętnym uśmiechem na ustach i wzgardliwem wzruszeniem ramion.

I teraz także rzekła po chwilowem milczeniu:

— Nie przekonałeś mię pan wcale. Żaden z tych celów życia które mi pan przedstawiłeś nie jest dla mnie stosownym ani możliwym. Zbieranie pieniędzy i zakładanie szkółek dla chłopskich dzieci, nie może przynieść mi żadnej ulgi ani przyjemności. Potrzeba mi czegoś więcej — przywiązania jakiegoś, wielkiej czyjejś przyjaźni, zupełnego podziału z kimś uczuć moich... ale niestety! samotną i smutną byłam zawsze, samotną i smutną żyć mi i umrzeć przyjdzie!

— Nie pojmuję jednak, dodała z nowym wybuchem, za co jestem tak nieszczęśliwą! O ile wiem nie uczyniłam nigdy nic złego...

— Nie czynić dobrze kiedy się ma możność potemu, rzekłem, jest to już czynić źle!

— Mój Boże, odpowiedziała, alboż ludzie o wszystkiem wiedzieć mogą? Nie mam przecież kamiennego serca i wyświadczam może cierpiącym, jakie mogę przysługi...

— Co znaczy, przerwałem, że obdarzasz pani hojnie trzy te kobiety które tak często u pani widuję?

— Alboż nie są one bardzo biednemi? wymówiła z litością.

— Zapewne, odparłem. Jedna z nich, za otrzymywane od pani pieniądze, kupuje sobie różne kosztowne przysmaki, bo jest żarłoczną: druga sprawia aksamitne paltoty, bo ma pociąg do elegancyi, trzecia zaś, kolega mój — żeńskiego rodzaju, składa je pilnie do sakiewki, w której znajduje się już spory uciułany fundusik.

— Nie wierzę temu, zawołała z uporem, są to biedne bardzo, samotne jak ja, dobre i wdzięczne istoty. Zresztą co mi do tego na co obracają pieniądze które ja daję...

— Co znaczy, przerwałem znowu, że zamiast dopełniać dobrego uczynku, wspierasz pani próżniactwo i udzielasz zachęty nikczemnej żebraninie, pociągające za sobą miłe następstwa takie jak: plotkarstwo, pochlebstwo, pobożnisiostwo i t. d.

Nie skończyłem jeszcze wymawiać tych wyrazów, gdy uchyliła się blado błękitna portyera a z za niej ukazały się z kolei twarze i postacie trzech kobiet o których mówiłem. Po błyszczących ich oczach i zaciśniętych wargach poznałem, że słyszyć musiały zdanie które o nich wyraziłem. Dygając i uśmiechając się rzucały na mnie jadowite, nienawistne spojrzenia, które jednak zwróciły się wkrótce na punkt inny. Punktem tym był zwój asygnat, który przed panią Luizą, przyniesiony przeze mnie, na stole leżał. Wywierał on na wzrok ich czarodziejski niby wpływ przyciągania, to też pewny byłem, iż znaczna część jego przejdzie niebawem do ich kieszeni. Przybyły tak razem, aby jak wyrażały się, rozerwać trochę panią hrabinę. W istocie, gdy wnet potem opuściłem mały salonik p. Luizy, w drugim czy trzecim salonie doleciały do uszu moich zmieszane ich głosy, z których każdy na wyścigi z innemi, rozmowę jakąś lub opowiadanie rozpoczynał. Panna Zuzanna chciała, jak mi się zdało, opowiadać p. hrabinie o cudownym, proroczym śnie jakimś, który wyśnił się jej zeszłej nocy; pani Mięcicka przerywała koleżance dowodząc, że nierównie ciekawszą od snu, była okropna jakaś, przerażająca sprawa kryminalna, której dnia tego na posiedzeniu sądowem wysłuchała; ale najbliżej gospodyni domu której wdzięczną współleżącą na kanapie postać przez drzwi otwarte widziałem, umieściła się wyniosła i wytworna p. Kuniewiczowa a pochylona nad dobrodziejką swą szeptała jej o czemś bardzo cicho, o czemś co zdwojoną bladość rzucało na lica słuchającej i chmurnym wyrazem napełniało jej źrenice. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że wyniosła dama w aksamitnym paltocie, opowiadała tej za której pieniądze paltot ten kupiła, o świetnej kawalkadzie konnej, która dnia tego przebiegając po kilka razy miasto nasze, była dla całej ludności jego przedmiotem rozmów i podziwu, a na której czele, na dzielnych rumakach i ze zwróconemi ku sobie wesołemi twarzami, jechali książę Jaś i młodziutka, piękna, zalotna hrabianka Julija.

Szumna owa przejażdżka konna która tyle hałasu i przeróżnych komentarzy wśród ludności miasta naszego sprawiła, miała być ostatnią już przyjemnością którą książę Jan podzielał z licznem a świetnem towarzyskiem gronem, podówczas w mieście bawiącem.

Nazajutrz stary książę Andrzej niebezpiecznie zachorował. Skoro tylko uwiadomiono mię o tem, udałem się do pałacyku księcia, aby bliższe powziąść wiadomości o zdrowiu człowieka który z wielu rozmaitych względów obchodził mię żywo. W pierwszym zaraz salonie ujrzałem kilku miejscowych lekarzy, odbywających cichą a żywą naradę. Z jednym z tych, z tym właśnie który był stałym lekarzem księcia, zostawałem w blizkich i serdecznych stosunkach.

— Co jest księciu? zapytałem odprowadzając go na stronę.

— Rzecz niezmiernie rzadko zdarzająca się w tak podeszłym wieku—ospa.

Zaledwie lekarz wymówił ostatni wyraz, gdy drzwi roztworzyły się na oścież i do salonu wbiegła szybko p. Luiza. Dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie księcia, nie pomyślała snać nawet o starannem ubraniu się. Miała na sobie ten sam czarny aksamitny szlafroczek, w którym najczęściej spędzała u siebie poranne godziny a tylko na ramiona zarzuciła jakąś fałdzistą, malowniczo ułożoną draperyę koloru nieba. Piękne jej włosy były w nieładzie. Zgarnęła je wszystkie z tyłu głowy w olbrzymi węzeł, z którego na plecy jej wymykały się miękkie i lśniące pasma. Łzy miała w oczach i wyraz gorącego niepokoju na lilijowo białej twarzy. Nie witając nikogo, zapominając jakby o wszystkich i wszystkiem na świecie, przebiegła szybko salon i pochwyciła rękę lekarza.

— Co jest księciu? zapytała stłumionym głosem.

Lekarz powtórzył wymienioną już wprzódy nazwę strasznej choroby. Usłyszawszy ją drgnęła całem ciałem i oczy sobie dłonią przysłoniła.

— Czy... zapytała bardzo cicho, niebezpieczeństwo śmierci zagraża księciu?

Lekarz nie mógł i nie chciał taić iż wiek podeszły chorego zwiększał ogromnie złe szanse tej niebezpiecznej zawsze choroby. Pani Luiza stała przez parę minut jak skamieniała. Nagle odsłoniła oczy z których spłynęły dwie grube łzy. Twarz jej była w tej chwili zmienioną do niepoznania. Okrywał ją wyraz stanowczo powziętego, mężnego jakiegoś postanowienia.

— Panie! zaczęła zwracając się do lekarza, książę nie ma córki, któraby nad nim czuwać mogła... Najemne dłonie nie zdołają otoczyć go troskliwością taką, jaką otaczać go powinna... Pozostaję tu i czuwać będę nad chorym!..

Mówiąc to zdjęła z ramion fałdzistą błękitną draperyę, rzuciła ją na sprzęt najbliższy i szybkim, zręcznym ruchem podjęła długi ogon aksamitnej swej sukni, aby ciągnąc się po posadzce nie sprawił niepotrzebnego szelestu.

— Jestem gotową, rzekła zwracając się do lekarza, chciej mię pan zaprowadzić do pokoju chorego i udzielić mi szczegółowych objaśnień co do sposobów czuwania nad nim!

(d. n.)

Korespondencya zagraniczna ze Lwowa.

(Dokończenie).

Zawiązało się we Lwowie nowe towarzystwo, któremu szczerze życzymy, ażeby nie spotkał go los smutny wielu innych niemniej pożytecznych usiłowań na tem polu. Towarzystwo to jest archeologicznem i ma na celu, jak mówi pierwszy ustęp statutów „poszukiwanie, badanie i przechowywanie, tudzież opisywanie, odrysowanie lub odfotografowanie wszelkich zabytków ruchomych i nieruchomych do przeszłości Galicyi i Wielkiego Księztwa Krakowskiego odnoszących się“. Prócz tego towarzystwo będzie się zajmować odczytami i rozprawami w zakres archeologji wchodzącemi i w miarę funduszów wydawaniem pisma archeologicznego. Nie można odmówić temu towarzystwu warunków żywotności i rozwoju. W ostatnich czasach obudził się u nas bardzo żywy interes dla zabytków archeologicznych i w ogóle dla tej gałęzi nauki a w różnych pismach literackich i odcinkach bardzo często spotkać się można z cennemi pracami archeologicznemi młodszych i starszych autorów. Rząd austryacki robi wiele na tem polu, bo oprócz stałej, centralnej komisyi, ustanawia w każdym kraju konserwatorów, którzy w staraniach około odszukiwania i przechowywania zabytków archeologicznych, mogą liczyć na poparcie władz a jeżeli rzecz zasługuje na to, także na potrzebne środki pieniężne. Sejm uchwala corocznie na konserwacyą zabytków archeologicznych około dwóch tysięcy złotych, co na Galicyę jest kwota wcale pokaźna. Nowe towarzystwo, którego duszą jest znany archeolog dr. Stanisław Krzyżanowski może liczyć na poparcie rządu i sejmu, jeżeli tylko zamanifestuje swoją żywotność i zdolność do dopięcia wytkniętego sobie celu.

Za staraniem towarzystwa gospodarskiego zawiązuje się we Lwowie towarzystwo ochrony zwierząt. Usiłowania tego rodzaju już dawno przestały u nas

być uważane za objaw szlachetnych w gruncie ale dziwacznych popędów. Dla tłumu będzie ono zawsze niepotrzebną zabawką, ale każdy inteligentny człowiek, patrzący niemal codziennie na wkorzenioną nieludzkość i głupią popędliwość w obchodzeniu się ze zwierzętami najpotrzebniejszemi, może tylko ubolewać, że dopiero teraz powstaje takie towarzystwo. Celem jego jest według statutów: 1) Ochrona od przeładowania i wytępiania wszystkich zwierząt, których utrzymanie i rozmnażanie nakazują lub pożądanem czynią względy gospodarskie i leśnicze, naukowe lub inne powody. 2) Podtrzymywanie wszelkiej dzikości w obchodzeniu się ze zwierzętami w ogóle a w szczególności z temi, z których sił człowiek korzysta w własnych celach lub z których jakiebądź inne ciągnie zyski, zatem także powstrzymywanie wszelkiego dręczenia, kaleczenia i nieludzkiego postępowania przy zabijaniu zwierząt. Zmierzając do tego celu całe towarzystwo ma przed oczyma jeszcze inny wyższy cel, t. j. rozbudzanie i utrzymywanie uczucia ludzkości, rozwijanie zmysłu dla przyrody i rozszerzanie rozumnych pojęć o stosunku człowieka do niej, szczególnie w niższych warstwach ludności, w ogóle oświatę i uobyczajenie. Obecnie towarzystwo to posiada już 45 członków, a ponieważ na razie nie będzie miało wielkich potrzeb pieniężnych, więc byt jego można uważać za ustalony. Przed zawiązaniem się towarzystwa dla ochrony zwierząt, wzięło na siebie to piękne zadanie towarzystwo przyrodników imienia Kopernika. Spełniło je tylko częściowo wyjednawszy u władzy to, że przypomniano stołecznym stróżom bezpieczeństwa publicznego, aby na tem polu spełniali swój obowiązek, zapobiegając pastwieniu się nad zwierzętami na ulicach Lwowa.

Dwaj pisarze dramatyczni z Warszawy, pp. Kazimierz Zalewski i Zygmunt Sarnecki, byli w ostatnich miesiącach głównymi bohaterami lwowskiego repertuaru teatralnego. Komedyę p. Kazimierza Zalewskiego „Przed Ślubem“ grano już kilkanaście razy a mimo to dyrekcya nie wykreśliła jej z repertuaru, i sądząc po udziale publiczności na przedstawieniach może przedstawiać ją w dłuższych odstępach czasu bez najmniejszego niebezpieczeństwa dla kasy, owszem z nadzieją uzyskania pięknego dochodu. Druga komedya tegoż autora „Z postępem“ nie zjednała sobie takiego rozgłosu jak poprzednia i po kilku przedstawieniach poszła może w długie zapomnienie. Mniej świetne ale także niepospolite powodzenie miała komedya p. Zygmunta Sarneckiego „Febris aurea“, która na kilka przedstawień ściągnęła zawsze liczną publiczność i jak się zdaje mogłaby być z równem powodzeniem jak „Przed ślubem“ częściej powtarzaną. Krytyka lwowska przyznała obu autorom z rzadką w takich wypadkach jednomyślnością, talent niepospolity i zaliczyła tak „Przed ślubem“ jak i „Febris aurea“ do rzędu najlepszych utworów, jakie w ostatnich czasach pojawiły się w dramatycznej gałęzi naszej literatury, nie wyłączając nawet utworów Fredry (syna), w którem widziano dotąd znakomitość nie zagrożoną żadnem współzawodnictwem. Jeżeliby liczba danych przedstawień i udział publiczności były rozstrzygającemi miarami talentu, to w takim razie nasz komedyopisarz musiałby nawet ustąpić swoje pierwszeństwo młodszym kolegom warszawskim. Ani krytyka ani publiczność lwowska nie zastanawiała się nad tem, kogo ma wyżej postawić p. Zalewskiego czy p. Sarneckiego? Obu talentom oddano otwarcie hołd, obaj autorowie zaskarbili sobie wdzięczność za prawdziwe wzbogacenie repertuaru oryginalnych utworów. Sądząc jednakże z wszelkich objawów możnaby twierdzić, że p. Zalewski zdobył sobie większą sympatyę dzięki wyższej wprawie technicznej i rzadkiej w polskich sztukach lekkości przy całem prowadzeniu akcyi dramatycznej. Sztuce p. Sarneckiego zarzucono częste popadanie w epizody nie powiązane jednolitym kierunkiem akcyi w całość organiczną a taka usterka osłabia w końcu wrażenia, jakie widz i krytyk odniósłby w ciągu przedstawienia z wielu scen prawdziwie mistrzowskich.

Nasze stosunki teatralne ustaliły się od jesieni znacznie ale głównie w kierunku materyalnym. Nowa dyrekcya wybrnęła z niedoborów swojej poprzedniczki i teraz jak się zdaje robi wcale świetne interesa. Gdyby tylko po pokonaniu trudności materyalnych dyrekcya pomyślała w stosownej mierze o polepszeniach w artystycznej stronie przedsiębierstwa, publiczność lwowska nie życzyłaby sobie nowych eksperymentów z towarzystwami akcyjnemi i komitetowemi dyrekcyami, które przed rokiem zawiodły scenę lwowską nad samą przepaść. Ale jeżeli dyrekcya chce zaskarbić sobie trwałą sympatyę publiczności, powinna w niektórych sprawach więcej liczyć się z jej słusznemi pretensyami. W tej chwili np. publiczność ma słuszną pretensyę do dyrekcyi, że forytuje mierne zdolności a zaniedbuje siły wyprobowane, które niemało przyczyniły się do kwitnącego stanu przedsiębierstwa. Dlaczego tak rzadko spotykamy się teraz z nazwiskiem p. Zimajer na afiszach, dlaczego artystka ta musi od pewnego czasu występować w rolach nie zupełnie właściwych jej talentowi i indywidualności? Publiczność nie wie, do kogo skierować ma to pytanie, bo nie przypuszcza, ażeby p. Zimajer zraziła się do niej i sama usuwała się coraz więcej a z drugiej strony znając zmysł przedsiębierczy dyrekcyi nie chce wierzyć, ażeby usuwano z pierwszego planu artystkę, która za jednym zamachem zdobyła sobie najżywszą sympatyę widzów i znakomitą grą w rolach naiwnych ściągała dotąd i ściągałaby nadal tłumy osób dość rzadko do teatru uczęszczających. Odzywają się głosy, że dziennik oddany dyrekcyi zupełnie już z samego tytułu wspólnych interesów materyalnych rozpoczyna podjazdową krytykę przeciw sympatycznej faworytce lwowskiej publiczności teatralnej. Na razie poprzestajemy na tej uwadze, bo wydaje się nam niemożliwem, ażeby dyrekcya teatru działała wbrew własnemu interesowi i wbrew notorycznym sympatyom publiczności. Publiczność jest przekonaną, że p. Zimajer nie zastąpi w wielu rolach, nawet w całej kategoryi rol żadna z jej koleżanek, a krytyka bezstronna i sprawiedliwa podziela to zdanie. Ci, którzy dziś stoją u steru w teatrze powinni pamiętać, jakie gromy ciskali niegdyś na swojego poprzednika p. Miłaszewskiego za to, że dla jakichś niezrozumiałych celów lekceważył głosy poważnej krytyki i wyraźne życzenia publiczności.

Bardzo praktyczną i pożyteczną okazała się jedna nowość zaprowadzona przez dyrekcyę teatru. W każdą niedzielę dawane bywają dwa przedstawienia: jedno popołudniowe, na którem młodsze siły artystyczne i dyletanci występują w pomniejszych sztukach, a drugie wieczorne, na którem bierze udział główny personal artystyczny. Te popołudniowe przedstawienia zastępują skutecznie szkołę dramatyczną, która istniała przed kilku laty we Lwowie ale utrzymać się nie mogła żadną miarą. Ponieważ ceny wszystkich miejsc są na popołudniowych przedstawieniach do połowy zniżone, więc uboższa część publiczności może częściej korzystać z teatru i małym kosztem rozerwać się raz w tygodniu.

B. Ł.

Przegląd literacki.

Listy Julijusza Słowackiego do matki z lat 1830 do 1835. Lwów 1875.

(Dokończenie).

W następnym liście tak opisuje spotkanie się z Mickiewiczem:

„Od kilku dni przyjechał Mickiewicz; żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku a było kilka osób, którym mówił że mnie chciałby widzieć, starano się więc nas sprowadzić gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie, Mickiewicz improwizował, ale dość słabo; po obiedzie, kiedy towarzystwo chodziło po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mnie, że znał mię dzieckiem... przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim (rzecz potrzebowałaby objaśniającego przypisku). Śmiał się z przypomnienia potem przypomniał mi, że mu Maleski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu powiedziałem że jego uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: „nadto jesteś skromny“ i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę. Później za powtórnego pobytu Słowackiego w Paryżu po powrocie ze Szwajcaryi, stosunki jego z Mickiewiczem różne przechodziły koleje.

W listach z Genewy, chociaż oświadcza się z nienawiścią dla Mickiewicza, wspomina o nim często, uwielbia „Pana Tadeusza,“ a pomimo że nie rad był uznać jego wyższość nad sobą, uznał ją jednak mimowoli, chlubiąc się przed matką z tego, że jeden z jego bezimiennie wydanych utworów, powszechnie przypisywany był Mickiewiczowi! Nie mógł także darować Mickiewiczowi zdania o swojej poezyi, którą Adam nazwał „pięknym kościołem ale bez Boga“ nie dla tego, ażeby Słowacki miał być bezbożnikiem, (chociaż nawiasem mówiąc, z tego tytułu stał się on ulubieńcem niektórych naszych pozytywistów), ale dla tego, że religijność — jeden z głównych czynników naszej poezyi—niezawsze jest takim czynnikiem u Słowackiego; przywykliśmy zaś w naszych wieszczach widzieć kapłanów niemal w dosłownem i właściwem tego wyrazu znaczeniu.

W jednym z następnych listów tak pisze z niechęcią o Mickiewiczu:

„Nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wygląda: z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym. Zbliżywszy się do mnie, powiedział: jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem; na oku tem jest napis Napoleon Empereur i to oko ciągle tkwi w mojej pamięci. Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya nad tem okiem, zapewne udanem (?) a może szklannem, dla wyłudzenia pieniędzy, zapaliła. Wolałbym żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami.“

W zdaniu swem o anglikach i francuzach Słowacki okazywał się chwiejnym: wbrew bowiem temu, co przytoczywszy powyżej, utrzymuje gdzieindziej, że wszyscy anglicy są głupcami i paryżanie również, dla tego też podobają się im anglicy. Kreśli także nieprzystępność owej bogatej burżuazyi, która panowała za Ludwika Filipa i jedno tylko znajduje dobrem w Paryżu, to, że każdy ubiera się jak chce i niewiele zważa na modę, choć my przywykliśmy łączyć nierozdzielne pojęcia o Paryżu i modzie. Podobno i dziś jest tam tak samo, jak za czasów Słowackiego i tylko po za obrębem Paryża, a zwłaszcza u nas, „mody paryzkie“ są artykułem wiary.

Zarozumiałość Słowackiego niekiedy staje się dziecinną i śmieszną: gniewa go np. to, że jego nazwisko drukują w gazecie małemi nie zaś dużemi literami!

W jednym z listów dowiadujemy się że znaną balladę „Czy to pies, czy to bies" Słowacki ułożył wspólnie z Odyńcem, wracając z przechadzki do Grosse Garten.

Przed samym wyjazdem z Paryża, w grudniu 1835 r. Słowacki odwiedził słynną kabalarkę p. Lenormand, co to Napoleonowi I przepowiadała koronę. Oto opis tej wizyty: Jest to baba stara, ma ze 60 lat, otyła, nizka, z garbem na plecach, ubrana w czarnej sukni, na głowie czarny beret, jak miękka czapka, rysy twarzy niezupełnie polskie (?). Siadła na krześle z poręczami, przy biórku z wytartem suknem, na biórku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Zapytana odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite—od 6 do 60 franków. Prosiliśmy o wróżbę za 6 fr. Zadała mi następujące pytania: w którym miesiącu rodziłem się ? w auguście (sierpniu); którego dnia? 23-go; jaka pierwsza litera imienia? I pierwsza litera kraju? P; jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze? czarny; jakie zwierzę najbardziej lubię? psa; jakiego zwierzęcia najbardziej nie cierpię? pająka; jaki kwiat najbardziej lubię? różę. Na tem zakończyła i wziąwszy taliją kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie karty zawsze odrzucając. Potem wzięła ogromne karty z dziwnymi wizerunkami i kazała mi z nich wybrać jedenaście kart lewą ręką. inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talji kazała mi wybrać 23 kart, ułożyła z wybranych ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć jak ekscytarz i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite: między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać, że rozpoczynam podróż, której mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości, że dopiero za 9 miesięcy będę miał stałe o losie wiadomości, że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował, że między 27 i 28 rokiem życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele zajdzie wypadków i t. d. Ze śmiechem, dodaje Słowacki, że jego towarzysz żałował iż nie żądali wróżby za 60 franków.

Dnia 30 grudnia 1832 poeta przybył do Genewy: rozpoczął się nowy okres jego życia który miał trwać 4 lata niespełna do 1836 roku.

W Genewie cały prawie czas swego pobytu spędził Słowacki w domu pani Patteg, z córką której Eglantyną, już wówczas „trzydziestoletnią panną" połączył go wkrótce stosunek ścisłej przyjaźni—czulszej, jak zwykle ze strony Eglantyny. Zresztą i pod tym względem Julijusz był bardzo zarozumiałym: nieraz w listach donosi matce że ta lub owa panna nim się zajęła. Eglantyna żyje i dziś jeszcze—sędziwa staruszka; przed dwoma laty czytaliśmy w Biblijotece Warszawskiej opis odwiedzin u niej przez panią D.

W listach z Genewy Słowacki uskarża się najwięcej na smutek i tęsknotę, i na kłopoty pieniężne; wiele z tych listów poświęcone stratom, które wówczas spotykały rodzinę Słowackich, a które poeta często przeczuwał, a niekiedy duchem wieszczym przed oczami widział, jak np. pogrzeb babki. Czasami jednak ożywiał się poeta i przodował w zabawach, kierował tańcami i umiał być bardzo przyjemnym, zwłaszcza dla dam. Pisywał niewiele, głównie tylko w jesieni miewał natchnienie: donosił matce o nowych poematach, nad którymi pracował (Lambro, Sen srebrny Salomei) i o drukowaniu III tomu dzieł swoich. Pobyt swój w Genewie znajduje raz nudnym i nieznośnym, to znowu utrzymuje że wspomnienie o nim będzie jednem z najprzyjemniejszych w jego życiu. Bezczynność nuży go i dręczy; spędza więc dni całe na czytaniu i przechadzkach. Zdaje się że ten charakter nie był stworzony do systematycznej i regularnej czynności.

Oprócz Eglantyny znał Słowacki młodszą i piękniejszą od niej Elizę, która co dwa dni z matką odwiedzała „pensyon" pani Patteg. „Dla czego nas odwiedza? pisze Słowacki—zapewne nie dla widzenia starej pani Patteg.

A zresztą, sądź sobie mamo, jak chcesz, ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Co do samego Julijusza, serce jego było jeszcze zimne: jeszcze nie nadszedł był czas, gdy stworzył najświetniejszy klejnot poezyi miłosnej—poemacik „W Szwajcaryi;" czas ten miał nadejść niedługo.

„Wierzę w przyszłe życie—mówi w jednym liście, gdyż to niepodobna, aby Bóg cię nie nagrodził za to że ci dał takiego syna." Następnie z chlubą donosi matce, że największą pociechą którą mu daje sława, jest słyszeć jak ludzie mówią: „szczęśliwa jego matka."

Wylewy miłości i czułości obustronnej pomiędzy matką i synem niekiedy dochodzą do rozrzewniającej szczytności: nie mogąc objęść się bez zasiłków pieniężnych z domu—sława, nawet wielka, nie dawała chleba—Słowacki narzeka na los swój, postanawia oszczędzać, zamieszkać gdzie w klasztorze lub chatce, gdzieby „dukat był tak długim, iż jego końca nie widać", nie może sobie darować tego, że uszczupla zasoby matki. Matka znowu, ze swojej strony, odmawia sobie we wszystkiem, nie opala nawet w zimie swoich pokojów, byleby synowi posłać więcej zasiłku. Na wiadomość o tem poruszył się Julijusz do głębi serca. Zaklina matkę, ażeby zaraz kazała we wszystkich piecach zapalić, nie może bowiem przenieść tego, ażeby jemu było ciepło, a ona cierpiała zimno. „Jeżeli się zabijesz tą oszczędnością, pomyśl, co się ze mną stanie."

Tymi wyjątkami ograniczymy się w niniejszem sprawozdaniu. Pozostawiamy Słowackiego z końcem 1835 roku w usposobieniu, które w różnych miejscach charakteryzuje następnemi słowy:

„Napada mię czasem chęć czynniejszego życia, marzę o różnych projektach, ale wszystko to naprożno nic mi nie pozostaje jak siedzieć cicho, myślić i pisać... Czas ciągle upływa dla mnie bez żadnej zmiany, ani nawet nadziei zmiany. Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora i myślę o was; czasem jestem odrętwiały, że potrzebowałbym ażeby mię pszczoły twojej mamo pasieki, pokąsały. Smutno, smutno... Teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć, bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa że przyjdzie na mnie nędza, że mnie duma moja zabije, to prawdziwie że mię okropność takiego losu przeraża.....

Nie mamy, zdaje się, potrzeby, po tem wszystkiem co powiedziano, polecać niniejszej książki — tak zajmującej i pouczającej, jak mało która ze zjawiających się na półkach naszych księgarskich. Zwrócimy tylko jeszcze uwagę na niedostateczną staranność wydawnictwa. Nietylko bowiem brak wszelkich, choćby najniezbędniejszych i króciutkich przypisów i objaśnień, czyni niezrozumiałemi wiele wzmianek i aluzyi, tem bardziej że wiele osób oznacza Słowacki jedynie pierwszemi literami ich nazwisk: nietylko używanie znaków przestankowych, których uregulowanie było rzeczą wydawcy — wielcy poeci czasem się nie troszczą o takie drobiazgi—jest prawie wszędzie wadliwe, ale nadto korekta jest zupełnie niedbałą i tyle tam w listach pomyłek, powtarzań i nieprawidłowych zwrotów, że czytelnik mógłby pomyślić, że taki mistrz słowa, jak Julijusz, nie umiał dobrze napisać po polsku najzwyczajniejszego listu. O przykłady na każdej niemal stronicy nie trudno. Przytoczymy tylko dwie pomyłki tyczące się nie już formy, lecz samej treści. Oto np. na str. 30, gdzie mowa o operze „Robert Dyabeł" czytamy: „Anna Komnena córka *lekarza* greckiego (ma być *cesarza*), a na str. 75, gdzie mowa o Odyńcu i jego żonie, czytamy: „jest *to* panna niegdyś Tańska" i t. d. z czego czytelnik wnieść może, że pani Odyńcowa była z domu Tańska; tymczasem pomyłka w jednej literze i zamiast *to* ma być *tu* (bawi tu także). Jedna litera w taki błąd może wprowadzić! Nie darmo mawiali starożytni: *litera docet, litera nocet* (litera uczy, litera szkodzi). Już to z pewnością, gdyby sam p. Małecki, który miał w ręku te listy, albo kto inny świadomy rzeczy, zajął się był redakcyą wydawnictwa, nie byłoby takich i grubszych jeszcze błędów. Spodziewamy się że na przyszłość wydawcy — pp. Gubrynowicz i Szmidt — trochę staranniej będą wypuszczali w świat dzieła tak cenne i ważne, jak niniejsze, które na takie niedbalstwo nie zasługiwało. *W.*

Przegląd teatralny.

Gałązka Heliotropu, komedya w I-ym akcie przez Ely.... (Asnyka), oryginalnie napisana.

W obecnych czasach przesiąkłych materyalizmem, w których dążności umoralnienia istoty człowieczej, zastąpionemi zostały chęcią zdobycia niezależnego stanowiska, pragnienia serca żądzą bogactw, a porywy ducha walką o byt, jakaż z czystych i nieowianych jeszcze prądem tak zwanego postępu dziewic, nie drży na myśl połączenia swych losów z losami członka licznej rodziny łowców na posagi, u których szlachetne popędy zastąpione zostały zimną praktyką życia, serce zamieniło się w głaz, a uczucie w rachunek? Tysiące przykładów jakie ma ciągle przed oczami, rodzą w niej obawę ażeby pozory bezinteresowności, nie ukrywały nizkiego i brudnego egoizmu, a układne słowa nie okazały się kłamstwem i fałszem. Do zbytku ostrożna, stąpa po drodze życia zasłanej różami, sądząc iż na każdym kroku natrafi na przepaść, w każdym kwiatku znajdzie jad... Taką była Amelia, sierota zostająca na wychowaniu i opiece dalekich swych krewnych pp. Beockich. Amelia posiadała znaczny majątek; a ów pryzmat bogactwa był powodem iż znając interesowność dzisiejszej młodzieży, każdego starającego się o jej rękę podejrzywała o zamiary więcej na wyrachowaniu pieniężnem, niżeli na uczuciach serca oparte. Z licznego grona konkurentów dwóch tylko mamy przed oczami: Adolfa, salonową lalkę, biegłego szermierza światowych intryżek, wzdychającego cokolwiek do ładnych oczów swej kuzynki, lecz więcej nierównie do okrągłej sumy posagowej jaka mu się po ślubie może dostać w udziale; jakoteż Henryka kochającego ją niekłamanem uczuciem i wzajemnie kochanego, ale przez dumę a więcej jeszcze wrodzoną nieśmiałość, niemającego odwagi odkryć przed nią tajemnic swego serca.

Dziewczę waha się — chciałaby iść za popędem uczuć, ale myśli: „może i on takim jest jak inni," a zresztą Henryk nie wyznał nigdy przed nią swojej miłości; czyliż ta do ostatecznych granic posunięta nieśmiałość, nie jest także zręcznie obmyślaną komedyą? Długo by się zapewne wahała rażona chłodem zwątpienia, i dumna trochę panienka z powzięciem stanowczego postanowienia, gdyby na szczęście dramatycznej konsekwentności komedyi, Adolf pragnąc podstępną intrygą odsadzić rywala i zdobyć dla sie-

bie żonę z posagiem, we własne nie uwikłał się sidła. Chcąc przeciąć węzeł gordyjski, namawia bezwarunkowo mu we wszystkiem wierzącego Henryka, ażeby wystylizował do swojej bogdanki czuły list, i prosił jej zarazem o wpięcie we włosy gałązki heliotropu, na znak że podziela jego uczucia. Naiwny młodzieniec idzie ślepo za tą zdradliwą radą, i w prostocie ducha powierza pismo, a raczej pełen poetycznej werwy sonet. rozstrzygający przyszłe jego szczęście, w ręce fałszywego przyjaciela, który naturalnie takowego Amelji nie oddaje, lecz namawia ją ażeby ozdobiła swoją głowę symbolem mającym w błąd wprowadzić rywala. Henryk ujrzawszy gałązkę heliotropu, zapomina o zwykłej swej nieśmiałości: staje się czułym, namiętnym... ona obrażona tą zuchwałością daje mu stanowczą odprawę; ale w końcu prawdziwe uczucie bierze górę, rzecz się wyjaśnia, i szczęśliwy autor sonetu zostaje małżonkiem nadobnej panny, jakoteż panem trzechkroćstotysięcznego posagu, gdy tymczasem nierzetelny jego przyjaciel ma sposobność przekonać się iż przysłowie: „kto pod kim dołki kopie sam w nie wpada“ mieści w sobie wiele życiowej prawdy.

„Gałązkę Heliotropu,“ nie można właściwie uważać za komedyę ani nawet za obrazek dramatyczny; jest to poemacik dyalogowany, brylancik czystej wody, błyszczący jasnym promieniem wyższego poetycznego natchnienia. Ogólne tony charakterów zaledwie naszkicowane, rozpływają się w eterze myśli, dumań i wrażeń; niedostatecznie upozorowane wchodzenie i wychodzenie osób nie razi tyle ileby raziło w innej rymowaną prozą skreślonej sztuce. Zbyt długie monologi także nie nużą, lecz dają się słuchać z przyjemnością, a prostoduszna naiwność Henryka, przebaczoną mu jest bezwarunkowo. Co w każdym innym utworze byłoby nieudatnem, tu staje się zaletą — tak, że wady budowy i niedokładności określeń, nikną niepowrotnie. Cudów tych dokonała poezya! Zaprawdę, gdyby „Gałązka Heliotropu“ skreśloną została zwyczajnym, choćby poprawnym nawet wierszem, musielibyśmy uważać ją za jednę z tych drobnostek które przechodzą przez repertuar, nie zostawiając po sobie żadnego wybitnego śladu; ogień natchnienia bijący z każdego niemal wiersza, sprawia, iż zapominając o usterkach scenicznych, słuchamy jej jako rzewnej, pieszczącej ucho melodyi, jako akordów dźwięcznej lutni pierwszorzędnego wieszcza.

Pan Asnyk, poeta w całem znaczeniu tego wyrazu, posiada wielki i niezaprzeczony talent — występując jednak po raz pierwszy w dramatycznej szacie, nie mógł uniknąć niedostatków, których pozbycie się długa tylko na tem polu praca dać jest w stanie. Życzyćby należało, ażeby pisarz umiejący myśli swoje przystrajać w tak prześliczną formę, nie porzucił nowo obranego kierunku; jesteśmy bowiem przekonani, że w dalszych swych utworach, nabrawszy stopniowo rutyny scenicznej, zdoła połączyć piękność dykcyi z warunkami wymaganemi od dramaturga. W każdym razie „Gałązka Heliotropu“, przypominająca ogólnem ustrojem pełne uroku kreacye Julijusza Janina, a barwnością słowa „Odludków i Poetę“ Fredry, jest jednym z lepszych nabytków sceny naszej, i zapewne ze względu na piękność swej formy, utrzyma się długo w repertuarze teatrów Warszawskich.

Artyści nasi jak zwykle, przyczynili się grą swoją do uwydatnienia dodatnich stron, tego lśniącego krasą uroczej ponęty kwiatka.

Rolę dumnej trochę, zniechęconej cynizmem swych opiekunów i chciwością łowców na posagi Amelii, oddała panna Romana Popiel z dokładnem zrozumieniem przedstawionego przez nią charakteru; mianowicie najlepsza scena komedyi, wtedy gdy chwilowe oburzenie ustępuje miejsca tkliwem a tajonem tak długo uczuciem, wykonaną została przez tę sympatyczną artystkę po mistrzowsku. W pełnym estetycznej piękności, lecz pozbawionym zupełnie dramatycznego życia monologu, umiała dodaniem drobnych na pozór szczegółów, upozorować naturalność wspomnionego ustępu, któryby bez tego pomimo wdzięku słowa, mógł nie jednemu ze słuchaczów wydać się zanadto rozwlekłym.

Pan Tatarkiewicz w roli Henryka, połączył naiwną prostoduszność nieśmiałości z tętnem głębokiego uczucia, które tajone w głębi serca przedzierało się mimowolnie na zewnątrz, a tłumione długo, wybuchło w końcu wulkanicznym ogniem. Od wspomnionego artysty wiele zawsze spodziewać się można; tym razem jednak znakomitą grą swoją, przeszedł on wszelkie nasze oczekiwania.

Pan Ostrowski, którego obowiązkiem było dołączyć szczyptę naturalnego komizmu do barwnej poezyą sielanki, wywiązał się ze swego zadania wybornie, a w ostatniej scenie wywołał kilkoma do perfekcyi doprowadzonemi gestami efekt, jakiego by niezawodnie mniej zdolny artysta wynaleść nie zdołał.

Pani Niewiarowska krótką swoją rolkę wykonała nie tylko sumiennie i naturalnie, ale nawet z pewną salonową dystynkcyją.

Rola Adolfa nie jest odpowiednią zdaniem naszem dla talentu pana Grubińskiego. Adolf powinien być żywszym w akcyi, więcej dystyngowanym w ruchach, i poprawniejszym (szczególniej przy akcentowaniu mocnych wyrazów) w deklamacyi. Odtworzenie tej postaci, powinnoby dostać się w udziale panu Wolskiemu lub Prażmowskiemu.

Jeszcze słówko. Kilkakrotnie już w sprawozdaniach moich, wspominałem o niewłaściwem zachowaniu się niektórych indywiduów, mających zwyczaj powracając z hałasem do krzeseł lub też lóż po podniesieniu zasłony, niepokoić publiczność. Jeżeli podobne postępowanie w czasie przedstawień płaskich fars bywa nie raz tolerowanem—to nie może być przebaczonem wtedy gdy rzecz idzie o utwór poetyczny, z którego radzibyśmy żadnego wiersza nie stracić. We Francyi widzowie z własnego popędu karcą podobne wybryki, u nas spokojna i cierpliwa nad miarę publiczność milczy; nie idzie jednak za tem ażeby ci którzy to czynią, nie zasłużyli na miano źle wychowanych osób.

Ludwik Niemojowski.

POGADANKA.

Każda pora ma swoje właściwości wyrobione obyczajem, a nieodłączne od niej jak kwiaty od wiosny, owoce od jesieni, lub baby i mazurki od świąt Wielkanocnych. Właściwością zaś wielkiego postu jak wiadomo, jest pewien ruch umysłowy i nawały harmonji płynącej z pod palców lub z głębi piersi koncertanta.

W stosunku jednak do lat innych harmonji mamy nie wiele, tak że w kronice naszej zaledwie zapisać możemy dobroczynny koncert na dochód towarzystwa Ś-go Wincentego a Paulo, który zgromadził jak zwykle w sali resursy obywatelskiej samą śmietankę towarzystwa.

Mamy za to rozmaite widowiska dobroczynne. Przytulisko wpadłszy na szczęśliwą myśl uzyskania współudziału pani Antoniny Hofman, nadało nowy interes swemu przedstawieniu i zwabiło mnogą publiczność, którą zapewne same żywe obrazy nie zgromadziłyby w takiej liczbie.

Wprawdzie Warszawa znaną jest ze swej ofiarności, a sztuki piękne—rzemiosła — przemysł w układzie pana Gersona, ilustrowane deklamacyą naszych poetów mają swoją wartość, a przytem przedstawienie na korzyść Przytuliska, chociażby z powodu wysokich cen ma pewną woń arystokratyczną, co jak wiadomo nigdy nie psuje powodzenia. Przecież nie wahamy się twierdzić iż główną przyczyną przepełnienia sali, pomimo nawet pewnej kolizyi między cenami ogłoszonemi drukiem a żądanemi w istocie, było wystąpienie pani Hofman.

Rola jednak jaką przyjęła nie dawała pola znakotej artystce do uwydatnienia energji i siły namiętności, które to przymioty mają stanowić charakterystyczne cechy jej talentu.

W teatrze też pani Hofmanowa nie wystąpiła w roli gościnnej, jak to niektóre pisma zapowiadały. Przemknęła się przez Warszawę szybko jak meteor, tajemniczo jak zjawisko. Nie znając powodów dla których nadzieje nasze ujrzenia jej na scenie ziszczone nie zostały, zaznaczamy fakt bez komentarzy.

Jak w latach poprzednich tak i obecnie, amatorowie w małym teatrzyku dobroczynności poświęcają swój czas i zdolności na usługę cierpiącej ludzkości. Nieco koteryjny z konieczności interes tych przedstawień, ożywiony został oryginalną komedyą Kraszewskiego *Słomiana wdowa*, napisaną umyślnie na prośbę amatorów czy też kierujących zabawą.

Nowością szczęśliwie wprowadzoną w przeszłorocznych reprezentacyach dobroczynnych jest operetka. Dobry to pomysł urozmaicający zabawę i nadający jej wyłączniej artystyczny charakter. Przy troszce dobrej woli i szczypcie zarozumiałości (a między nami mówiąc któż jej nie ma?) każden wyobraża sobie iż może rywalizować z Modrzejewską lub Królikowskim. Sztuka dramatyczna polegająca właśnie na oddaniu natury a utajeniu sztuki, zdaje się każdemu dostępną i łatwą. Gdy tymczasem ażeby śpiewać trzeba mieć choć trochę głosu i trochę nauki. Ma się rozumieć, wyjątek w tym względzie stanowią cudzoziemcy, którym w Warszawie wolno nie mieć ani jednego ani drugiego nieraz — i zyskają powodzenie.

Oprócz koncertów i widowisk teatralnych, stanowiących niejako lekką artyleryę dobroczynności, mamy rzeczy poważniejsze. Szereg odczytów na osady rolne odznacza się tego roku szczególniej starannem doborem i rozmaitością treści. Rozpoczął je nader świetnie pan Faleński kreśląc na tle złotej Zygmuntowskiej epoki melancholiczną postać młodego zgasłego przedwcześnie poety, po którym pozostało nam zaledwie kilkanaście utworów.

Jak znakomity przyrodnik z jednej kości znalezionej odtwarza organizm zaginionych jestestw, tak pan Faleński z tej garstki poezyi ocalałych od zagłady odtworzył życie, usposobienie, miłości i prace nieszczęśliwego Sępa Szarzyńskiego, a uczynił to z całą sumiennością badacza i natchnieniem poety.

Pan Kamiński w pełnym taktu odczycie scharakteryzował instytucyę małżeństwa pod względem prawnym i religijnym.

Pani Orzeszkowa brylantowym stylem który jest jej właściwością, opowiedziała nędzę i niedolę dotykające ludzkość najsrożej w młodem pokoleniu, nędzę niszczącą w zarodzie przyszłość społeczeństw, bo zamiast zdrowych członków dającą im pod względem fizycznym i moralnym kalekie indywidua.

Poglądy swoje pani Orzeszkowa poparła cyframi i faktami wyjętemi z dzieł znakomitych myślicieli, filantropów i prawników, dowodząc tym sposobem jak gruntownie zbadała obrany przez siebie przedmiot, a przytem potrafiła suche zazwyczaj zagadnienia nauki przyoblec formą sympatyczną i przystępną dla ogółu.

Pan Milicer mówił o ozonie i w godzinnej prele-

kcyi usiłował objaśnić nieobeznanych z naukami przyrodniczemi, fenomena odbywające się nieustannie przed naszemi oczyma, których przyczyn jednak najczęściej pojąć nie umiemy, i uczynił to z jasnością, jaką tylko wykładom swoim nadać umieją ci, co zupełnie zawładnęli przedmiotem.

Już to przyznać należy wybór tematu prelekcyi, najzdolniejszym nawet przedstawia trudności, które doświadczenie tylko usunąć może. Zbyt szerokie nie nadają się w ogóle do jednogodzinnego odczytu a przynajmniej wymagają odpowiedniego traktowania które zdobywa się tylko przez wprawę.

Publiczność nasza, skwapliwie korzysta z odczytów, sala bywa zwykle przepełniona, a na zapowiedziane prelekcye Hr. Tarnowskiego już od dawna wszystkie bilety są zamówione.

Fakt to z jednej strony pocieszający, gdyż świadczy jak ogół u nas żądny wiedzy, z drugiej znów smutny bardzo... dla tych którzy spóźniwszy się odejdą jak to mówią z kwitkiem, bez nadziei usłyszenia słynnego profesora Jagiellońskiej wszechnicy.

Nie tylko żywe słowo ale i słowo pisane a raczej drukowane kwitnie i rozrasta się w rozmaitych kierunkach. W wystawach księgarskich mamy pełno nowości. Dla ludzi możnych, wykształconych artystycznie wyszło świeże wydanie Maryi Malczewskiego ilustrowane mistrzowskim ołówkiem Andriollego. Poetyczne postacie Maryi, Miecznika, Wacława, które mgliste i nieujęte, żyły w myśli naszej od dni pierwszej młodości, teraz dopiero ukazują nam się w całej plastyce kształtów, jakiemi je wielki artysta przyodział.

Jedyną wadą tego przepysznego wydania, pierwszego podobno jakiego doczekało się polskie dzieło we własnym kraju, jest to, że nie może być dostępne dla wszystkich coby je nabyć pragnęli. Niestety, jest to wadą wszystkich arcydzieł sztuki.

Za to pięciogroszowa książeczka dla wszystkich Kazimierza Promyka rozeszła się w 20,000 egzemplarzach, rzecz dotąd u nas niesłychana. Powodzenie to zachęca widocznie do dalszych podobnych wydawnictw, bo mamy przed oczyma nieco droższą (14 gr.) książeczkę pana Tarczyńskiego: Pierwsze wiadomości o świecie. Jest ona napisana stylem jasnym, a zawiera, jak to tytuł wskazuje, elementarne zasady wiedzy zastosowane do pojęcia prostaczków.

Oby podobnych książek przybywało jak najwięcej.

Do ważnych objawów społecznego życia, należą posiedzenia doroczne rozmaitych towarzystw i wspólek oraz wybory odbywające się w ich łonie. Niedawno w kasie przemysłowców miały miejsce dość nieparlamentarne debata, a nawet wywiązała się i polemika, której teatrem wrogie łamy dwóch Kuryerów.

Towarzystwo muzyczne znowu, będąc widocznie najzupełniej zadowolone ze swoich obecnych kierowników, nie przypomniało niczem istnej burzy w szklance wody, jaką wyprawiło zeszłego roku. Nie było ani gwałtownych wystąpień, ani oratorskich zapałów, ani przymówienia się dam, ani oklasków, ani zgorszeń—słowem przykładna cisza i rozczulająca jednomyślność, świadczyła o zaufaniu jakie potrafił sobie zdobyć pan Wieniawski i cały komitet, przywracając harmonię w towarzystwie które odznaczać się nią powinno. Panu Wieniawskiemu nawet towarzystwo zawotowało koncert dziękczynny mający się odbyć bardzo nie długo, a amatorowie składający chór i orkiestrę w dzień Św. Józefa zaśpiewali mu jako solenizantowi Kantatę umyślnie w tym celu napisaną, na którą pan Wieniawski odpowiedział walcem Moniuszki i etudą Szopena. Były tam jeszcze przemówienia i rozrzewnienia, ofiara pałeczki dyrektorskiej, i deklamacya p. Wiewiórskiego, potem zakrążył kielich dziękczynny, śpiew wdzięczności, i zebrani o dziesiątej już unosili do domów wspomnienia chwil mile przepędzonych.

Po jednorocznych usługach p. W. dla Tow. Muz. zaszczyt to nie mały! Cóż to dopiero będzie w ćwierć wiekowym obchodzie służby jego dyrektorskiej.

Równą harmonią odznaczało się towarzystwo zachęty sztuk pięknych gdzie wszyscy chwalili wszystkich! (prawda że energiczny oponent p. Godebski wyjechał zagranicę) i gdzie także wszystko odbyło się w należytym porządku.

Jeden tylko ogólny ujemny objaw zaznaczyć musimy w tych zebraniach tak zgodnych jak też i niezgodnych, a tem jest że zwykle zaledwie dziesiąta część stowarzyszonych, zajmuje się interesami instytucyi do której należą.

Poświęcamy grosz bez wahania, rozrzucamy go nieraz niepotrzebnie, ale kiedy chodzi o to by wejrzyć co się z naszym groszem zrobiło, i czy on rzeczywiście służy celom na któreśmy go poświęcili, to już przechodzi miarę naszej *ofiarności.* Pod tym względem cenimy stokroć więcej nasz czas niż pieniądze. Jestże to dowodem że przejęliśmy się zasadą amerykańską co do wartości czasu? Jesteśmyż tak bardzo pracowici czy tak bardzo leniwi?

Już to przyznać należy, iż we wszystkich warstwach społecznych panuje u nas rodzaj... niedbałości ułatwiającej niezmiernie wszelkie wyzyskiwanie, zarówno legalne, zatwierdzone niejako sankcyą milczenia, jak i te co pochodzą z prostego lekceważenia publiczności. Ztąd mamy bardzo wiele instytucyi, które do niczego nie prowadzą, i ułatwień, które nic nie ułatwiają, a nawet przeciwnie utrudniają położenie: ztąd najzbawienniejsze przepisy, nie wydają właściwych owoców. Dla tego to mamy latarnie udające że świecą, omnibusy jakby z łaski przewożące pasażerów, bryczki przezwane karetami pocztowemi, szosy z przepaściami bez ratunku, i adresy osób poszukiwanych tak dokładne, jak wykazy statystyczne Kuryera Warszawskiego.

Jeden np. z naszych znajomych, doktór P. wyniósł się na prowincyą i mieszkał tam lat sześć, a pomimo to ani przez rok jeden, nie przestał figurować w kalendarzach warszawskich jako mieszkaniec Alei Jerozolimskiej. Z Kurjera zaś Warszawskiego dowiedzieliśmy się, że ludność Japonji wynosząca głów 3,300,946 liczy mężczyzn 16,891,729 — kobiet zaś 16,408,940, i że ś. p. Władysław Świeszewski w 9-m roku życia został dyetaryuszem w służbie górniczej okręgu wschodniego, urodził się bowiem w r. 1834 a w r. 1843 był już dyetaryuszem.

Czyżby zatem wschodni okręg górniczy był specyalnym opiekunem małoletnich i miał tę wyższość nad osadami rolnemi że gdy te zajmują się jedynie przestępcami, on daje chleb artystom in spe?

Co do małoletnich, smutnym nader faktem w kronice naszego miasta, jest samobójstwo dziecka 15-stoletniego Józefa Osińskiego, który powiesił się z całą przytomnością umysłu. Co było powodem tak rozpaczliwego czynu, dokładnie nie jest wiadomem. Jeżeli trwoga przewidywanych trudów w przyszłej walce o byt, tak szorstko i bez podstaw wyższych celów życia ludzkiego, rozwijana przez tak zwanych pozytywistów warszawskich, to istotnie pozazdrościć trzeba losu ptaków niebieskich, które nie sieją, nie orzą, a mają o czem żyć i śpiewać, zwłaszcza też teraz, kiedy towarzystwo opieki nad zwierzętami zawiesza gniazdka gliniane na drzewach, żeby im i tej pracy oszczędzić.

Wprawdzie ta filantropijno-ekonomiczna czynność, jest o wiele łatwiejszą i tańszą niż budowanie domów dla bliźnich, którzy o tyle są nieszczęśliwsi od ptaków, że na gałęzi nocować nie mogą; mimowoli jednak nasuwa się pytanie, dla czegóż nie jesteśmy..., zwierzętami.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i **Przyjaciel Dzieci,** w następnym drugim kwartale b. r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi,* gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41** nowy**).**

Przyjaciela Dzieci Nr 13 wyszedł z druku i zawiera:

Batawija (z drzeworytem).—Do mego brata (wiersz).—Torquato-Tasso.—Krótki rys historyi zewnętrznej Rzymu. Wyspa Tajemnicza przez Julijusza Werne (ciąg dalszy). Z wiadomości bieżących. w Dodatku: Z opowiadania pana Marcina (z drzeworytem).—Koziołek i Osiołek (wiersz) Ja sam.—Czy takich wielu?—Żaboryb (z drzeworytem). Wdzięczność (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 10 (22) Марта 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

N. 28. Suknia przybrana tressami. Krój stanika można dopasować podług ryc. 30 w N-rze 6 a tunikę podług ryc. 33 w N-rze 5.

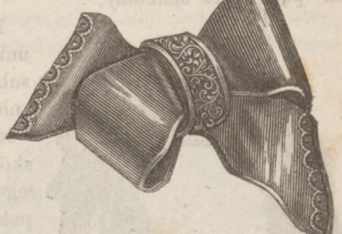
Suknia z wełnianego materjału z fartuszkową tuniką i długim kirasem zapinanym z tyłu przybrana jest modnemi tressami jedwabnemi przerabianemi ze złotem i szeroką jedwabną frendzlą. Na szyi zawiązana krawatka z pięknego jedwabnego tiulu czarnego wyszywana



N. 1. Medaljon.



N. 6. Uczesanie z aksamitną opaską i gałązką złotą. N. 7. Kokarda alzacka.



N. 2. Brosza.



N. 3. Zapinka do mankieta.

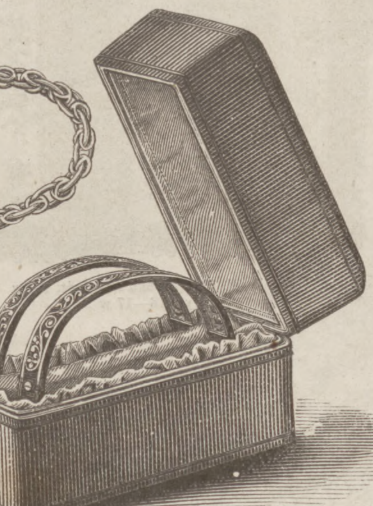
na końcach złotą nitką.

N. 29. Ubranie wizytowe.

Eleganckie wykończenie sukni z materji jedwabnej polega na szerokim hafcie odrobionym z brzegów tuniki i stanika wyciętych w zęby oszyte koronką; w każdym zębie wszyta jest aplikacja wycięta z koronki przyszyta starannie jedwabiem do brzegów materji wyciętej z pod koronki. Na ten cel można użyć starych koronek nawet podartych wycinając z nich tylko oddzielne kawałki potrzebne do aplikacji. Chcąc więcej podnieść efekt haftu można ozdobić go wywodzeniem nitką złotą.



N. 4. Łańcuch do medaljonu.



N. 5. Dwie bransolety „Porte—bonheur."

N. 30. Ubranie balowe. Krój stanika patrz ryc. 31—32 w N-rze 5.

Przygotowane z lekkiego materjału jak tiul, gaza lub tarlatan dopełnione jest kirasowym, z tyłu sznurowanym stanikiem atłasowym, przybranym plisami 3—4 cent. szerokiemi. Suknia z przodu i z boków zdobna wązkiemi falbankami a z tyłu dwoma szerszemi wolantami oszytemi atłasem, przykryta jest prawie fantazyjnie narzuconą tuniką, przybraną girlandą róż i pojedyńczemi różami do rozrzucenia których wśród buf trzeba bardzo zręcznej i wprawnej ręki.



N. 8. Paletot dolmanowy. Krój patrz ryc. 3—4 w Nr 10.

Przepisy kuchenne.

Kalafiory zimowe.

Kapusta włoska szatkuje się niezbyt drobno, soli się i obgotowuje nieco w wodzie. Po wyłożeniu jej na durszlag, aby należycie osiąkła, zagotowuje się kwarta mleka, z dodatkiem łyżki masła, i wkłada się w to mleko kapusta osiąkła. Gotuje się z półtory godziny. Wyłożywszy na półmisek, oblewa się masłem zrumienionem i bułeczką się obsypuje. Potrawa ta bardzo naśladuje smak i zapach kalafiorów!

Kotlety postne.

Cztery śledzie, dwa dni naprzód w wodzie moczone, oczyszczone z ości, drobno się siekają. Dodaje się cztery łyżek śmietany kwaśnej, bułeczki tartej w miarę żółtek dwa, gałki muszkatołowej, szarlotki drobno usiekanej i masła świeżego kawałek. Wymieszawszy to należycie, robią się kotlety, i smażą się z lekka na patelni, obsypawszy wprzód bułeczką.

Lin po żydowsku.

Lin oczyszczony parzy się, kraje w kawałki, i dusi się w maśle, z drobno usiekaną cebulką. Dolewa się kiedyniekiedy smaku wygotowanego z włoszczyzny: a w końcu, zakrusza się zrumienionym i drobno utartym i przesianym chlebem.

Szczupak faszerowany.

Szczupaka obrać z kości i usiekać na massę, podczas siekania dolewać wody zimnej aby był pulchny. Do czterofuntowego szczupaka wziąć dwie bułki tarte, żółtek 5 wbić i masła, łyżek 2, zagotować z cebulą, ale nie zrumienić, tylko żeby nie było czuć surowizną, do tego dodać w miarę pieprzu i soli, i to wystudziwszy dobrze na letnio wlać w tę siekaninę; do tego ubić pianę z pozosta-



N. 9. Krótki paletocik. Krój patrz ryc. 20—21 w Nr 44.

łych 5 białek i nadziewać skórę ściągniętą, a z pozostałej ilości robić pulpety. Tak nadzianego szczupaka gotować w sosie z włoszczyzny i zaprawić go na biały sos z cytryną jak zwykle do ryb. Przy skórze powinien zostać ogon z głową. Do gotowania można dodać i drobnych ryb aby sos był smaczniejszy. Do tego sosu można dolać parę łyżek śmietany.

Kto dla uniknienia subiekcyi, nie chce ściągać skóry z dużego szczupaka może zrobić farsz z mniejszych ryb, i nadziawszy nim całego dużego szczupaka, razem ugotować.


N. 10. Ubranko.


N. 12. Koronka wyszyta z tasiemeczki na tiulu do ryc. 11.

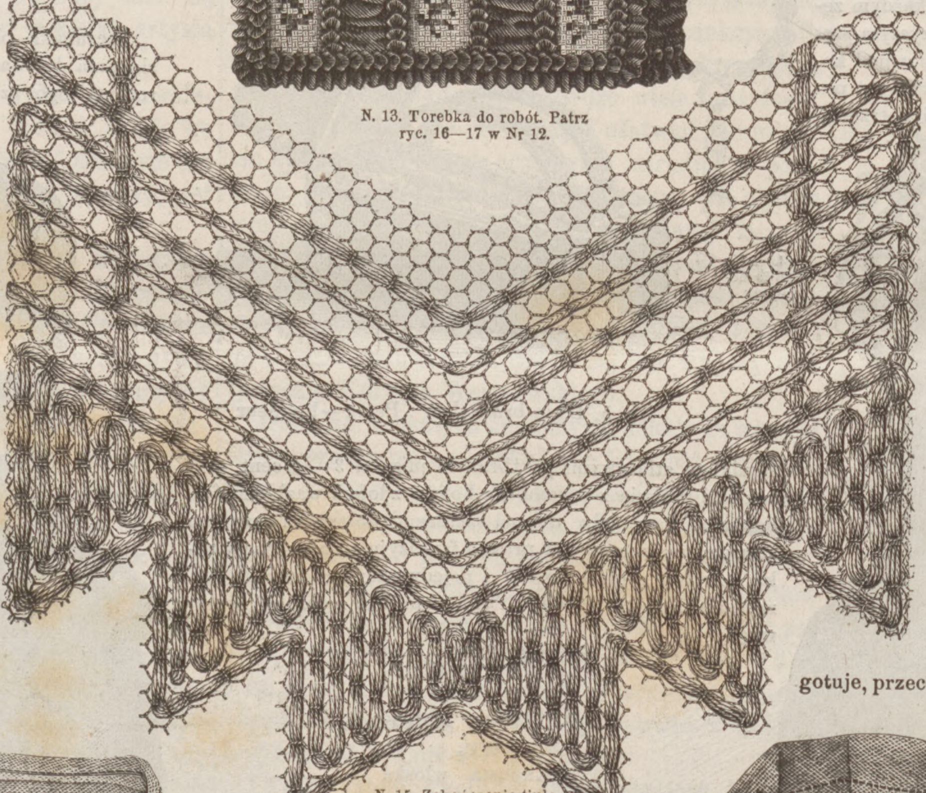
Paszteciki z ryb.

Najlepsze są liny na paszteciki, w braku ich jednak można użyć jakichkolwiek ryb. Należy ich ugotować w smaku z pietruszki, marchwi, selera i kalarepy byle nie przegotować. Przyrządzić tymczasem krem, wziąwszy w proporcyi 12 muszelek, śmietany $1/2$ kwarty, 8 żółtek i zmieszać to wszystko z zasmażką z łyżki masła z mąką zrobioną, i razem zagotować aby zgęsło; potem obrać ryby z ości zmieszać z kremem, wcisnąć cytrynę, i nałożywszy w muszelki posypać tartą bułką i w sądzić wpiec.


N. 13. Torebka do robót. Patrz ryc. 16—17 w Nr 12.

Paszteciki ze śledzi w klarze.

Na 12 osób bierze się 6 śledzi holenderskich, które należy na poł rozpłatać wybrać z nich ości odrzucić głowę i ogon, a gdy się tak przygotują, wymoczyć dobrze w słodkiem mleku, potem z wilgoci osuszyć w serwecie. Zwinąwszy w trąbkę każdą połówkę, macza się w klarze. Klar do nich następnym robi się sposobem: Bierze się trzy kwaterki mąki pszennej, rozbija w białkach i oliwie, których powinno być po kwaterce. Przed wydaniem do stołu osmażają się w maśle klarownem posypując zieloną pietruszką.

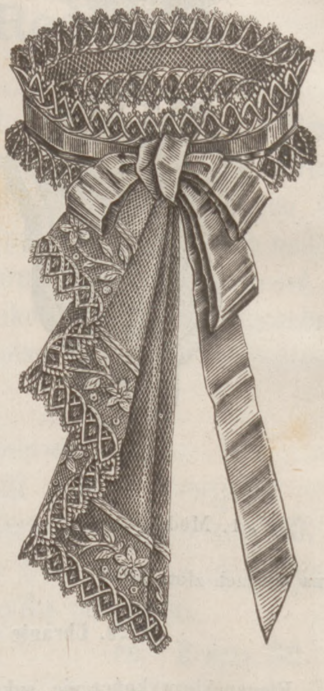

N. 15. Zakończenie tiulowej krawatki ryc. 14.

Wódka Dębowa.

Zbiera się pączki dębowe i tych do garnca okowity bierze się połkwarty, miesza się do tego półkwarty dzięgla tyleż korzenia tatarskiego i kwartę napakowaną piołunu zbieranego w maju, gencyanny za groszy 15; to wszystko powinno się moczyć w okowicie przez sześć tygodni.

Sok Cytrynowy.

W tym czasie na wiosnę gdy cytryny są najlepsze i najtańsze można zaopatrzeć spiżarnią w sok cytrynowy który jest wyborny i długo da się przechować gdy jest starannie zrobiony. Na kwartę soku cytrynowego, kwarta wody i 5 funtów cukru; cytryny należy obrać zupełnie z żółtej skórki, wycisnąć dobrze i przecedzić przez sito i gęsty muślin tak, aby sam sok ściekł gdyż inaczej byłby mętny. Potem zmięszawszy z wodą i cukrem zagotować parę razy, tylo tylko aby nie zczerwieniał. Wystudzony zlać w butelki, dobrze zakorkować i postawić w chłodnem i suchem miejscu.


N. 11. Kreza z kokardą.

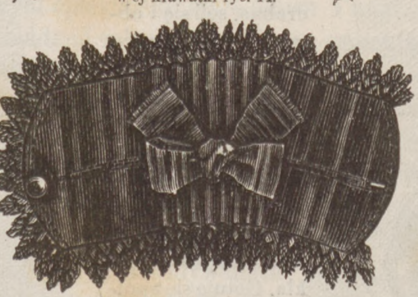
Pomarańcze faszerowane.

Wziąść po jednej, lub po parę pomarańcz na osobę, zerznąć z jednego końca skórkę w kształcie złotówki, i przez ten otwór wybrać mięso z sokiem łyżeczką do czystej salaterki, zupełnie wydrążyć próżność w łupinie pomarańczowej, potem je odgotować, aby zmiękły. Następnie wyjąć do zimnej wody, która z nich gorycz wyciągnąć powinna, i jeszcze lepiej wewnątrz wyskrobać, zważając, aby nie zepsuć powierzchni i na wylot nie przedziurawić, ponieważ na niczby się nie przydała. Nakoniec wypłukać, obetrzeć z wilgoci, a gdy nieco obeschnie, nalać sporządzoną już pierwej przyprawą.

Przyprawa do nalania pomarańcz.

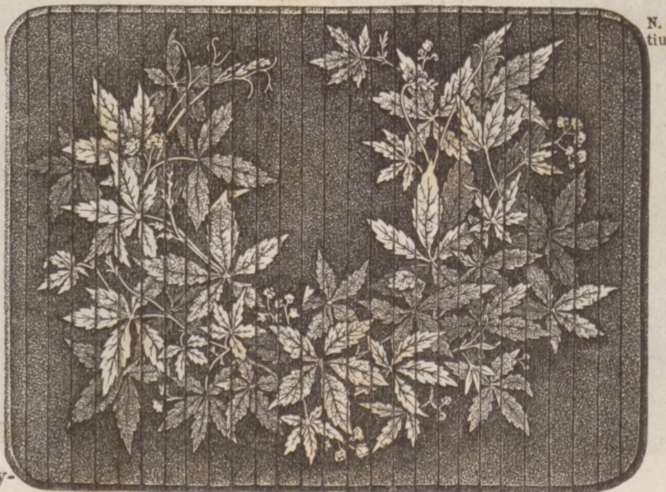
Wylać na serwetę sok z pomarańcz, gdy płyn zupełnie ścieknie, dodać już przygotowany ulep; który się tak robi: obetrzeć pół funta cukru o powierzchnię skórki pomarańczowej dla zapachu, włożyć w osobny rądelek, skroić pół cytryny w talarki odrzuciwszy pestki i z wierzchnią skórkę, nalać kwartą wody, gotować, szumując; gdy się dobrze podgotuje, przepuścić przez serwetę. Podrzeć w drobne cząstki karuku rybiego nieco mniej niż ćwierć funta, i w rądelku zalać półtora kwarty wody, wbić białko od jaja, wycisnąć sok z pół cytryny: rozbijać łyżką drewnianą, gotując na małym ogniu: gdy się do połowy wygotuje, przecedzić przez serwetę, a powinien być czysty i klarowny. Dopiero te trzy artykuły połączone razem, to jest: sok z pomarańcz, cukier i klej rybi, stanowią przyprawę, którą nalewają się pełno skórki wypróżnione pomarańczowe. Po ułożeniu w naczynie napełnione lodem nakryć, aby zastygły. Tym sposobem przyprawa staje się zdatną i przyjemną do użycia. Zalecamy ją, jako dostatecznie wypróbowaną.


N. 16. Krawatka tiulowa. Patrz ryc. 11 12 w Nr 12.


N. 17. Mankiet z materji.


N. 14. Krawatka tiulowa. Patrz rycina 15.


N. 18 Rękaw z plisowanym mankietem.


N. 20. Patarafka. Robota nakrapiana.


N. 19. Rękaw z gładkim wykładem oszytym plisowaniem.

Śledzie wędzone.

Śledzie wymoczyć w kilku wodach, potem włożyć w ocet przesypawszy liściem bobkowym, pieprzem i angielskiem zielem; jak śledzie już są doskonale umarynowane,

wziąć z nich tyle, ile na raz do zjedzenia potrzeba, osączyć z octu zupełnie, owinąć w cienki papier pojedyńczo, i każdy z osobna uwiązać na sznurku i powiesić w kominie niezbyt wysoko; jeżeli ogień jest prawie ciągły, dosyć ich trzymać 12 godzin, a jeżeli z przerwami dużemi to 24 godzin.

Jabłka całe z pieca.

Ostrugane jabłka w jednym gatunku, wydrążone i żelazkiem po wierzchu ukarbowane, układa się na kawałkach pokrajanej cienko bułki, stosownie, do wielkości jabłek. Ułożywszy te jabłka na brytfannie, podlać sklarowanem masłem, oblać kremem tak urządzonym jak do pasztecików, tylko rzadszym przez danie o połowę mniej żółtek obsypać bułeczką tartą i wsadz'ć w piec aby się upiekły. Okrawki z bułek w formie podłużnej można kłaść w środki jabłek wydrążone lub ubrać wiśniami i obsypać cukrem.



N. 21. Kapelusz z rondem wyciętem z przodu.

Legumina z jabłek.

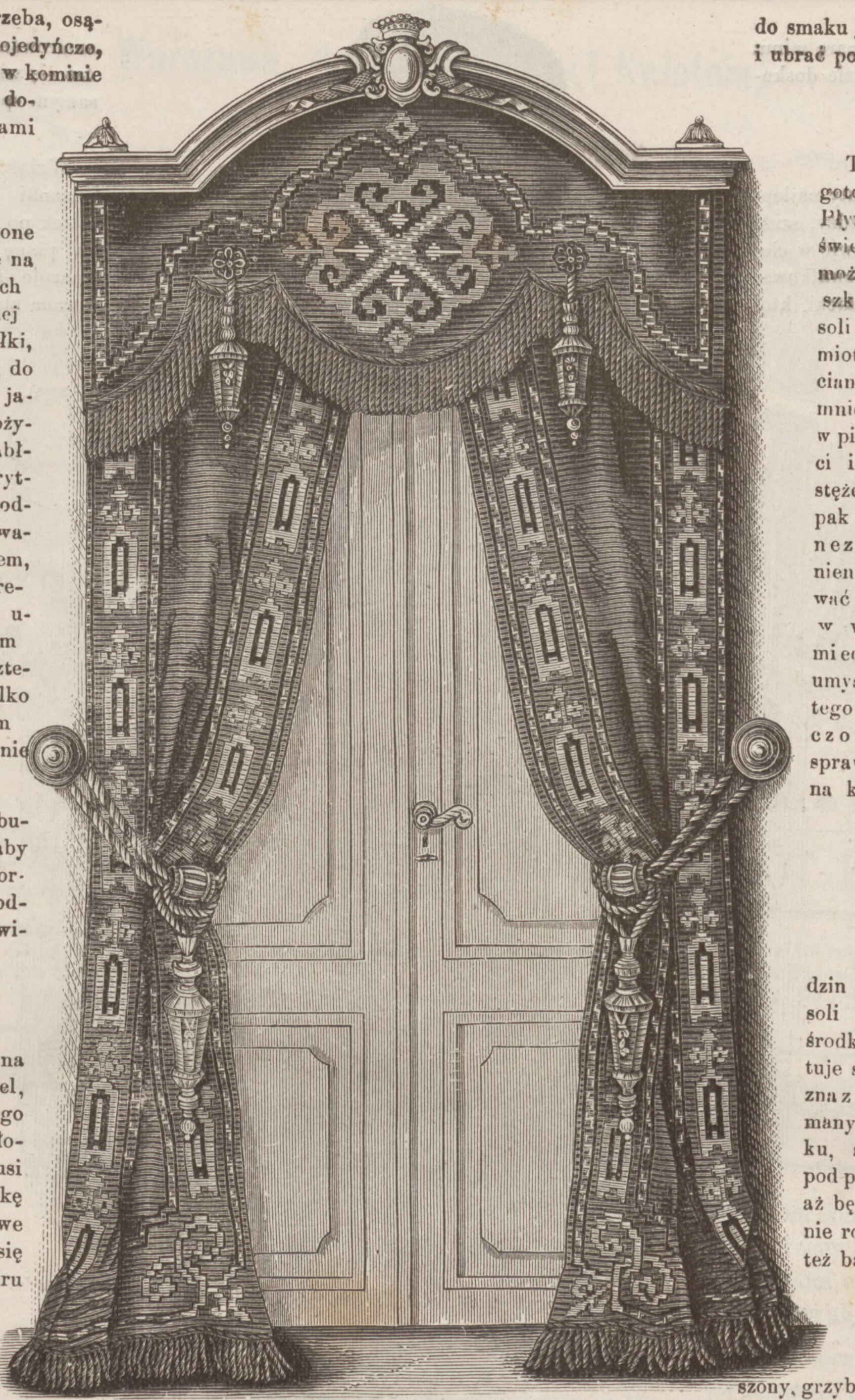
Obiera się 12 jabłek, kraje na cienkie kawałki i kładzie w rondel, do tego bierze się łyżkę nie słonego masła, mieszając ciągle, gdy się przeduszą w połowie, leje się półkwaterki wina węgierskiego i dusi się jak na marmuladę. Potem wykłada się na miskę i rozciera dobrze, trze się dwie bułeczki montowe bez skórki, i bardzo miałko się tłucze. Miesza się samą marmuladę z 10 żółtkami, kubkiem cukru i skórką cytrynową z białek bije się dobrze pianę, gdy się ma kłaść w rondel, miesza się marmuladę z bułką i połową piany, a z drugą połową leciutko wymięszać. Piecze się godzinę.

Grzanki.

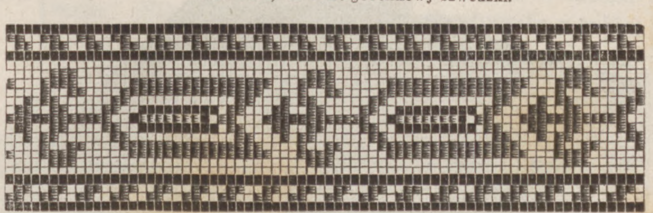
Grzanki średniej grubości, zamoczyć w winie zmięszanym na pół z mlekiem gotowanym i dobrze osłodzonym. Żółtka z trochą dobrej mąki zmięszać na ciasto gęstości lanych klusek dodać pianę ubitą z białek od tychże żółtek, maczać grzanki w tem cieście i smarzyć nie w zbyt gorącem maśle. Dając na stół oblać szodokem lub sokiem.

Szczupak z szafranem.

$^1/_2$ łuta szafranu ususzyć i utłuc w moździeżu, nalać szklankę wina na 24 godzin wygotować sos z marchwi, niebiorąc innej włoszczyzny ani korzeni, zalać ciepłym nasoloną rybę, włożyć sporo dużych z pestkami rodzenek i gotować aż będzie miękka, zasmażyć parę łyżek oliwy z łyżką mąki, rozebrać sosem od ryby zważając aby nie był za słony wtedy wlać szafran, cukier do smaku jeśliby za mało był ostry dolać wina, polać rybę i ubrać podróbkami, proporcya ta jest na 12 osób.



N. 23. Portjera. Haft gobelinowy szwedzki.



N. 24. Szlaczek do ryc. 23.

Szczupak w Majonezie.

Trzy łuty karuku nalać kwartą zimnej wody i wygotować do połowy, aby zostało półtory szklanki. Płyn ten czysto przecedzić, dodać szklankę oliwy świeżej, octu surowego, który jeżeli jest bardzo ostry, można cokolwiek osłodzić, soku z cytryny, gałki muszkatołowej, soli i bije się miotełką drucianą na zimnie, aż się w pianę obroci i zupełnie stężeje. Szczn pak do Majonezu powinien się gotować w całości w wanience miedzianej, umyślnie do tego przeznaczonej. Po sprawieniu, na kilka godzin przed gotowaniem, soli się z wierzchu i we środku, osobno znowu gotuje się rozmaita włoszczyzna z korzeniami, i w otrzymanym ztąd ciepłym smaku, szczupak gotuje się pod przykryciem tak długo aż będzie łupki, a jednak nie rozgotowany. Dla tego też bardzo pilnować trzeba, aby ryby nie przegotować, a ponieważ głowa najczęściej temu ulega, obwinąć ją trzeba czystem płótnem.



N. 22. Kapelusz z podniesionem z przodu rondem.

Do garnirunku bierze się marchew, korniszony, grzyby, rydze, oliwki, kapary, jajka na twardo gotowane a krajane w części i sardele. Po ugotowaniu wyjmuje się szczupaka na długi półmisek, zupełnie wystudza, lukruje przygotowanym majonezem i przystraja wyżej wspomnianemi przedmiotami.

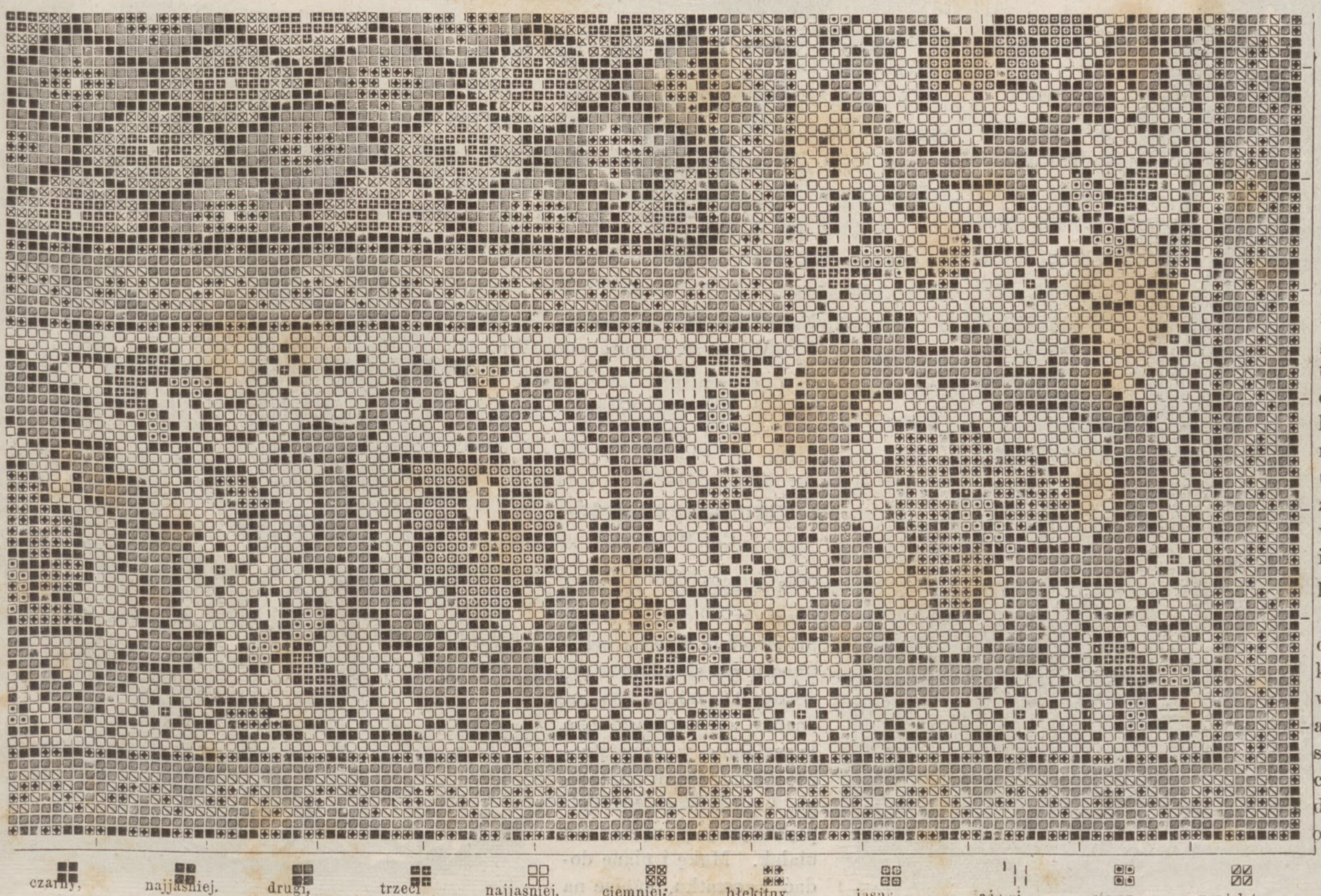
Szczupak, Leszcz lub Lin w galarecie.

Którąkolwiek z tych ryb oczyścić, pokrajać na dzwona, osolić solą prażoną i zostawić przez noc.

Na drugi dzień ugotować włoszczyzny, cebuli wraz z korzeniami, rybę opłukać ze soli, ułożyć w rondel i nalać gorącym przecedzonym ukropem z włoszczyzny. Gotować powinna się ryba pół godziny, dolewając po trochu wody zimnej aby się nie rozgotowała, a gdy już będzie łupka wyjąć ostrożnie na salaterkę lub formę gdzie pierwej wlać trzeba trochę galarety, a po stwardnieniu jej włożyć cytrynę krajaną w plasterki, korniszony, kapary i grzybki, układać na to rybę uważając aby najładniejsze kawałki do dna przypadły i zalać do pełna galaretę przecedzoną.

Po ugotowaniu ryby dodać można do smaku łut karugu, należycie wygotowanego, odstawić od ogn ia aby się ustało, potem prze z serwetę na rybę przzcedzić czysty płyn bez mętów i do piwnicy wynieść dla ostudzenia.

Przed samem wydaniem



N. 25. Deseń na dywanik robotą krzyżową.

na stół galarety, obwinąć trzeba formę na parę minut ściereczką umaczaną w gorącej wodzie, a wyjdzie doskonale.

Ciastka do kawy.

Wziąść funt sklarowanego masła i cztery łuty najlepszej mąki, sześć jaj, sześć łyżek dobrych drożdży, sześć łyżek śmietanki, ubijać przez godzinę i postawić w ciepłem miejscu, aby ciasto wyrosło. Potem je rozwałkować i niewielkim spodkiem od filiżanki, wykrawać placki, któ-



N. 26. Ubranie dla dziewczynki. Przód patrz ryc. 27.



N. 28. Suknia przybrana tressami. Krój stanika patrz ryc. 30. w Nr 6, tuniki ryc. 33 w Nr. 5.



N. 27. Ubranie dla dziewczynki. Patrz rycina 29.

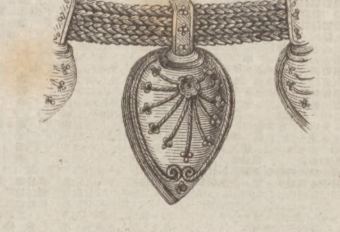
re się z wierzchu smaruje następującą massą: pół funta utłuczonych migdałów zmięszać z pół funtem cukru miałkiego, z trzema jajami, skórką otartą z jednej cytryny i kawałkiem tłuczonej wanilji albo cynamonem. Gdy ciastka wyrosną wstawić do pieca i posypać cukrem.



N. 29. Ubranie wizytowe.



N. 31. Naszyjnik złoty. Patrz ryc. 32.



N. 32. Część naszyjnika ryc. 31. Wielkość naturalna.

Legumina pomarańczowa.

Pomarańczę gotować przez dwie godziny, a gdy już zupełnie miękka przetrzeć przez sito do donicy, dodać 10 żółtek po jednemu, ucierając wałkiem bezustannie w jedną stronę, kubek cukru miałkiego, pół kubka mąki najpiękniejszej i pianę z 10-ciu białek. Mąkę i pianę dodać naostatku, sypiąc na przemiany i zaraz wlewając do rondla grubo wysmarowanego klarowanem masłem i tartą bułeczką. Piecze się trzy kwandranse. Z cytryny robi się legumina tym samym sposobem.

Legumina z powideł.

Wziąść łyżkę powideł, dwie łyżki gęstej śmietany, pół filiżanki cukru i utrzeć dobrze, następnie dodać sześć żółtek po jednemu, wiercąc w donicy bezustannie i białka na pianę ubite, z którą się tylko lekko mięsza. Rondel smaruje się niesolonem masłem, do niego wlewa przygotowana massa i piecze w piecu trzy kwandranse.

Pierożki nadziewane konfiturami.

Trzy całe jajka, trzy żółtka i trzy łyżki gęstej śmietany zagnieść z taką ilością mąki pszennej, aby się ciasto rozwałkować dało, nakładać konfiturami, robić malutkie pierożki i wrzucać na wrzące masło. Skoro na wierzch spłyną wyjąć i posypać cukrem.



N. 30. Ubranie balowe.